Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1890. Rok XIII



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Wędrówki naszych ptaków.

Skreślił

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Zdawałoby się, iż dlatego, że ptactwo co roku odbywa wędrówki, samo zjawisko wędrówek powtarzaćby się powinno niezmiennie każdego roku, tak na wiosnę jakoteż w jesieni, w równej intenzywności. Wiemy jednak o tem, że tak nie jest. Są lata, że mimowolnie pytamy, gdzie się podziało ptactwo wędrowne? Ledwo gdzieniegdzie spostrzeżono nie wielkie stada, a większych przelotów nie było.

Czemuż to się dzieje? Wszak z innej strony wiadomo nam, że tak u nas jak i na północy są wszystkie gatunki, tak jak innych lat, gdyśmy je widzieli wędrujące w wielkich masach.

Różnice te są po największej części pozorne, wypływające z charakteru samego spostrzeżeń lokalnych, jakoteż z właściwości rozmaitych szlaków wędrownych, których ptactwo używa. Bywają lata, iż długi czas wstrzymuje podróżników nieprzyjazny stan atmosfery; doczekawszy się zaś korzystnej chwili, przelatują pospiesznie nocami naszą krainę, nie zatrzymując się wcale i prawie uwagi naszej nie zwracają. Inną razą, w miejscach, gdzie oczekujemy wędrownych stad, ledwie nieliczne jawią się egzemplarze, a masy główne innymi pomknęły szlakami pod wpływem korzystnych prawdopodobnie prądów, jakie ptak wyszukuje i z nich korzystać umie.

Każdy z nas niezawodnie pamięta lata, w których jesienna wędrówka i przeciągania ptactwa były tak pospieszne, iż rzadko gdzie spotkać było można większe zbiorowisko ptactwa; w innych znów wędrówki i ciągi trwają długo, odbywają się powoli, ptactwu jakoś nie spieszno, pojedyncze gatunki po kilka tygodni nieraz na jednem miejscu się zatrzymują, jeżeli tylko nie braknie żeru. Osobliwie w ten sposób odbywają częstokroć swe wędrówki i ciągi ptaki błotne, bekasowate, a osobliwie słonki.

W porze jesiennej emigracyi ptaków, stają się polowania błotne najinteresowniejszymi, bo oprócz oklepanego ptactwa, z którem się cały rok spotkać można, nadlatują tu rozmaite gatunki z północy. W pewnych wygodnych, zacisznych i bogatych w żer miejscowościach, tworzą się zbiorowiska ptaków wędrownych, w których liczba egzemplarzy przechodzi wszelkie pojęcie; najrozmaitsze gatunki bądź odpoczywają tu wspólnie, bądź żerują, a przelatując tylko z miejsca na miejsce, przebywają i po kilka tygodni w jednej okolicy. Wiele bardzo razy zdarzyło mi się oglądać

takie popasy wędrownego ptactwa, a przypominam sobie zbiorowiska, które mnie w zdumienie wprowadzały, taka tam masa była nagromadzonego życia, tak potężny objaw twórczej siły przyrody.

Czem głębiej zapuścimy się na południe, tem więcej gatunków, tem różnorodniejsze życie na takich zbiorowiskach, a kto widział takowe u nas, ten z pewnością da wiarę opisom podróżników po krajach południowych. Niezliczonymi maleńkimi wysepkami zasiana, płytka i moczarowata zatoka Meuzaleh, na wschodzie delty Nilowej, jest takiem uprzywilejowanem miejscem zbioru najrozmaitszych gatunków. Ptaki zawsze niemal jedno i to samo miejsce do popasów obierają, miejsce, odpowiadające najbardziej ich potrzebom. Ten sam zmysł, który prowadzi ptaka przez dalekie kraje, zaprowadza go niezawodnie i dotych miejsc. Podobnie jak z knieją obeznany myśliwy potrafi z góry oznaczyć miejsce pobytu jakiejś zwierzyny, tak samo i z okolicą obeznany wie bardzo dobrze, w którem miejscu jaki gatunek ptaka w wędrowce swej popasać będzie. Miałem sposobność obserwować to u wielu gatunków, a mianowicie u kaczek, bocianów, siewek, żurawi, słonek i wielu innych z ptactwa błotnego i wodnego. Jak we wszystkich objawach w naturze, tak i tutaj zachodzą nieraz zmiany, a zachodzić muszą, gdzie tyle rozmaitych czynników współdziała; jednak to nie przeszkadza regule, którą tu wypowiedziałem.

Najpiękniej rzecz tę potwierdzają żurawie, powracające na południe z początkiem miesiąca października. Ile razy ptaka tego miałem sposobność obserwować, zakładał on zawsze popasy na pewnych tylko miejscach, a ponieważ ptak ten wcale się nie spieszy przez kraj nasz przelatując, obserwacya jest łatwą i bardzo wdzięczną. Przez lat pięć przylatywały co roku żurawie w stadzie kilkaset sztuk liczącem i usiadały na polach folwarków Ostrów i Hermań (pow. Rudecki) tak, iż jadąc drogą z Komarna do Rudek, widzieć można było szeregi całe tych pięknych i rozumnych ptaków. Spacerowały one po polach zasianych pszenicą i jak łopatami przegrzebywały ziemię za ziarnem i robakami, a robiły w polu taki nieporządek, iż gospodarz z folwarku Ostrowa osobnego musiał trzymać polowego, którego zadaniem było spędzać żurawie z pszenicy. Nie na wiele to się przydało; zegnane z pól Ostrowsk ch przelatywały na pola Hermańskie, i odwrotnie, a praktyka ta trwała i dwa tygodnie; wreszcie wznosiło się całe stado i dążyło na południe. Zła to bywała zwykle wróżba, bo północno-wschodni wiatr, który wygnał żurawie, przynosił nam zwykle białego a nie zawsze jeszcze pożądanego gościa.

Kto zna ową okolicę pustą, owe ciągle powtarzające się lekkie fale terenu bez żadnej odmiany, tak, iż jadąc, trudno się zoryentować; kto wie, że pasmo to niemal niczem nie różniącej się ziemi kilkanaście mil kwadr. zajmuje — ten zdumieć się musi, dlaczego ptak ten tak uparcie utrzymuje się zawsze na jednem i tem samem miejscu, znajdując według naszego mniemania wszędzie jedne i te same warunki.

Z pewnością, że na pytanie, jak wysoko wędrują ptaki, każdy inną da odpowiedź, i każdy będzie miał racyę, bo ogromna różnorodność tutaj panuje, a obserwując wędrówki o rozmaitych porach dnia i przy rozmaitym stanie atmosfery, spotyka się owe różnice. Jeden i ten sam gatunek leci nieraz nisko, niemal ponad dachy, inną razą ginie dla oka „jako plamka szara“, a wreszcie się „całkiem w błękicie roztapia“. Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że chyba tylko niemożność respiracyi zakreśla niektórym ptakom granice w wyżynach, a jako powód takiego wznoszenia się w górę, uważam li tylko umiętność ptaka w wyborze korzystnych prądów, bo podania wielu przyrodników, iż wznoszenie się takie jest ptakowi potrzebne dla oryentowania się w okolicy, ponad którą przelatuje, nie przemawiami do przekonania, i gdybym był ptakiem, śmiertelniebym się za takie przypuszczenie obraził, wobec przyznanego ptakom tak silnie rozwiniętego zmysłu oryentacyjnego.

Że ptactwo wędruje w wyżynach niedoścignionych dla oka, dowodzą tego niemal co roku wędrówki pewnych gatunków, których głosy silnie rozbrzmiewają w powietrzu, tak, że ucho odróżnia w przybliżeniu kierunek zkąd pochodzą, a przecież oko niczego odróżnić nie zdoła. Przy obserwacyi tarczy słońca w jesieni roku r. 1875 teleskopem, zauważył astronom Tenaut ptactwo, które według jego mniemania o milę ponad ziemią leciało, zatem w atmosferze o połowę tak gęstej jak ta, którą oddechamy, i dobrze mu z tem było, bo organizacya przyrządów respiracyjnych u ptaka dozwala zmiany ilości wdychanego powietrza.

Nie zważając na rozmaite zmiany, jakim ulega wysokość lotu wskutek rozmaitych wpływów atmosferycznych, a biorąc za podstawę jednakie stosunki, możemy odróżnić ptaki wysoko i nisko wędrujące. Do wysoko wędrujących zaliczyłbym żurawie, bociany, czaple, gęsi i niektóre ptaki drapieżne (dzienne), bąki, kulony wielkie; także zbyt wysoko lubią przelatywać: kaczki dzikie, drozdy, kosy, gołębie i wiele ptactwa drobnego; najniżej wędrują sowy, kozodoje, drobne ptaszki owadożerne, trzciniaki, przepiórki, chróściele, słonki, kszyki, dubelty, rozmaite rodzaje bieguców i kulików. Ponieważ ptactwo to ostatnie po większej części wędruje nocami, bardzo niepewne są podania pod tym względem i tylko o tyle spostrzeżenia są możebne, o ile głosy podczas wędrówek wskazują w przybliżeniu, oddalenie i rodzaj ptactwa.

Zdarzają się wypadki, że ptactwo, osobliwie błotne, wędruje tak nisko, iż niemal dotyka człowieka na ziemi. Jadąc w kwietniu 1886 r. grobelką pomiędzy mokrymi łąkami z Kołodrub do Powerchowa, zostałem poprostu objęty wędrującem ptactwem. Było to bardzo mięszane towarzystwo, a po głosach wabiących zdołałem rozpoznać, że były tam siewki *(Charadrius)* czajki *(Vanellus cristatus)* i bataliony (*Machetes pugnax*). Przy słabem świetle księżyca ptactwo to zdążało na północ, wiatr zachodni ledwo dyszał, a całe stado, o ile to dojrzeć było można, leciało rozprószone z rzadka, nawołując się ustawicznie.

Podczas gdy jedne gatunki ptactwa wyłącznie wędrują za dnia, odbywają inne porą nocną swe podróże, niektóre zaś najchętniej używają do tego zmroku rannego i wieczorowego, co szczególniej u kaczek daje się spostrzegać.

Obawa przed niebezpieczeństwem zmusza zapewne niektóre drobne gatunki ptactwa do używania nocy do podróży. Po dniu wędrują w regule ptaki drapieżne dzienne, łabędzie, gęsi, żurawie, bociany, gołębie i niektóre z drobnych gatunków ptaków. Jednak i tu zdarzają się wyjątki, a istnieją nawet spostrzeżenia nocnych wędrówek bocianów. Cała zatem kwestya o wysokości wędrówek, niemniej o porze doby, używanej do tego, jest tak elastyczną, zachodzą tu takie różnice, iż o ułożeniu ptaków w jakiś system pod tym względem nie może być mowy, a jeżeli zastanawiałem się tutaj dłużej nad tym przedmiotem, to z przyczyny, iż przypisuje nawet takim luźnym wskazówkom niejakie praktyczne znaczenie.

Zadziwić może, iż co do wędrówki słonek istnieją bardzo wiarygodne spostrzeżenia, iż ptak ten w pewnych

okolicznościach po dniu wędruje. Niezawodnie są to wypadki fenomenalne, bo gdyby takimi nie były, wiedzielibyśmy także cośkolwiek o dziennych wędrówkach tego ptaka, na którego patrzą oczy całego łowieckiego świata. Lecz właśnie spostrzeżenia, które tu naprowadzam, udowodniają, jak niedostateczną jest nasza wiedza co do wędrówek ptaków w ogóle, skoro zwyczaje ptaka, przez tyle ócz obserwowanego, jeszcze ciągle coś nowego nastręczają.

Imiona przytoczonych tutaj troskliwych badaczy i specyalistów dają rękojmię, iż podania ich zasługują na wszelką wiarę, i nie są obliczone na efekt, z jakimi się bardzo często spotykać można. I tak bracia Müllery powiadają: po kilka razy dostrzegaliśmy za dnia nadlatujące słonki na wiosnę, i to zawsze przy wietrze południowym lub południo-zachodnim, a Homeyer opowiada (*Ornithologische Briefe*), że strzelec jego Meyer „dostrzegł na dniu pogodnem rano o godz. 8-mej niewielkie stado słonek, zapadające na łąkę łoziną zarosłą, z którego ubił 4 sztuki“.

Przyznam się, iż pomimo szacunku wielkiego, jaki odczuwam dla prac i podań tych znanych i sumiennych specyalistów, nie mogę czuć się przekonanym nawet o fenomenalnych wędrówkach dziennych słonki, wierząc dosłownie i silnie we fakta spostrzeżeniami przytoczonymi objęte. Ktokolwiek widział, jakie chmary słonek w pewnych latach zapadają w pewne miejsca, ten pojmie, że proste wypłoszenie bądź przez psa, bądź przez człowieka lub w jaki inny sposób, może się stać powodem zjawiska, które ktoś nieznający powodu może wziąść za wędrówkę dobrowolną Spostrzeżenie drugie, oprócz tego iż może również polegać na podobnym składzie rzeczy, jest tylko pośredniem.

Dwadzieścia kilka lat doświadczenia własnego są także nielada nauką, a ten okres czasu nie zdołał mnie pouczyć jak tylko o nocnych wędrówkach słonki, oraz wszystkich ptaków bekasowatych.

Od lat siedmiu przypatrywałem sie zbiorowiskom popasowym najrozmaitszego ptactwa błotnego na rozmaitych bagnach i wodach koło Dniestru i Wereszycy, a rok ubiegły dał mi sposobność obserwować dokładnie wędrówkę tego ptactwa. Na jesiennym wylewie Dniestru (właśnie podczas pory wędrówek) nagromadziły się na łące zalanej pod lasem niezliczone masy rozmaitego ptactwa. Ptactwo to nasze, wraz z obcymi przybyszami, żerowało społem, obsiadując czerniejącemi się zdala płaszczyznami brzegi i wszelkie byle trochę wyniosłe punkta zalanego terenu.

W powietrzu nad wodami wywijało się w błyskawicznych obrotach kilka gatunków rybitw, a ponad wodą przelatywały od czasu do czasu rozpierzchłe stada jaskółek ważącym się wolnym lotem. Poważne czaple stały tu i ówdzie po kolana w wodzie, nieruchome, jakby wypchane. Gromady czajek z kulikami najrozmaitszych gatunków, bojowniki, londziki szare, *(Glottis chloropus)* biegusy (*Tringae*) to przelatywały z miejsca na miejsce, to znów obsiadały brzegi i brodziły lub biegały za żerem, w takiem pomieszaniu, że na jeden strzał można było ubić 3—4 sztuk, a każda należała do innego gatunku. Podczas tych wesołych popasów ptactwa błotnego, spacerowały najrozmaitsze gatunki drapieżników po wyniosłym terenie pod lasem, urządzając od czasu do czasu wycieczki za zdobyczą. Przez kilka dni panował tam gwar i życie nie do opisania, wreszcie pewnego dnia po zachodzie słońca zaczęły się wynosić stada, a na drugi dzień, gdy przybyłem w to miejsce, cisza zalegała już wody, nie było i żywej duszy ptasiej, wszystko znać w nocy powędrowało.

Pomimo wszelkiej ostrożności, jaką zachowują ptaki podczas wędrówek, pomimo organizacyi widocznej, wysyłania zwiadów i t. p., zdarzają się jednak lata, w których z wiosną wiele bardzo ptactwa ginie pod grozą klimatu i głodu. Nie przybyło ono wprawdzie za wcześnie, bo pory przylotów nie bardzo się różnią, tylko spóźniona wiosna staje się przyczyną strasznej klęski, a opisy przyrodników, wspomnienia niemal każdego ziemianina, nie obojętnego na to, co go otacza, wiele o tem powiadają. Przykre wrażenie owych lat, w których wyginęło owe ukochane, z nami i z naszą strzechą zrosłe ptactwo, tkwią długo w pamięci. Już podczas rozpoczętych lęgów, wśród najpiękniej rozwiniętego życia, następowała nieraz katastrofa, powiały mroźne wiatry, spadły śniegi, mrozy ścięły wody, całe życie w przyrodzie niemal zaumarło, jaskółki, jeżeli nie ginęły z zimna, to z głodu, bociany opuszczały gniazda, uciekały w zacisza lasów, tam przy oparzeliskach gorżko biedowały aż do zmiany na lepsze.

Straszną dla ptactwa klęską taką było obniżenie się temtemperatury na —5° R w dzień 20 maja 1876. Piękny zazwyczaj i uroczy w poezyi maj, wcale nie uroczą zostawił wówczas po sobie pamięć.

Inną razą żądza wędrówki większą bywa niż fizyczna do tego zdolność i zapędza ptaka do zguby. I tak, tysiące przepiórek i chruścieli ginie w otchłani morza śródziemnego, a nie mniej tego ptactwa zapędzają orkany na rozpalone piaski pustyni, jak o tem czytamy w księgach Mojżeszowych: „stało się tedy wieczór, że się zleciały przepiórki, a okryły obóz“ (Moj. Exod. 16.) pomimo, iż bez przelotu morza znalazłyby na wybrzeżach tegoż warunki do przebycia zimy (Middendorff.)

Działają tu, tak na wiosnę, jakoteż w jesieni, silne czynniki, które choć w części rozjaśnić nam mogą kwestyę ciemnych tych zagadek.

Żądzę wędrówek roznieca jeszcze bardziej budzący się na wiosnę wrodzony popęd utrzymania swego rodzaju; wszystko spieszy do dawnych swych kolebek, do stron ojczystych, by w miejscach tych roznieciać znów ogniska życia rodzinnego, a silny ten popęd zmusza do milczenia rodzące się obawy, wszystko dąży naprzód, byle stanąć na czas u kresu spełnień przeznaczenia. To też radość i wesele napełnia serduszka wędrowców z południa, gdy już ujrzą rodzinne strony; każdy w swój sposób wita swe dawne gniazda, jedne jako swą kolebkę, starsze jako miłe ustronia, z którymi się wiążą wspomnienia tylu miłych kłopotów, a wszechstronna ta radość przelewa się w części i w serca nasze, gdy na to patrzymy. Spieszy się ptactwo, bo wie, że klęska jaka je tu spotkać może, nie zrodzi jeszcze tyle złego, co spóźnione lęgi. Spieszy się, bo w krótkim czasie trzeba i gniazda naprawić lub nowe zbudować, i nowe pokolenie wykarmić i wychować, aby mogło znieść trudy dalekiej jesiennej wędrówki. Spieszy się ptactwo, bo wygodny i sybarycki żywot, jaki pędzi na południu, i ptaka wreszcie nudzić zaczyna, więc wyczekuje gorączkowo chwili, w której wśród trudów i kłopotów dozwolonem mu będzie rozżarzyć ofiarne ognie penatów i przy tem ogniu bogów odrodzić się w pokoleniu.

Gdy pokolenie już wychowane, gdy samoistne już potrafi prowadzić życie, widzi ptak, że spełnił w tym roku już swe przeznaczenie, lecz nowe zaczynają w nim nurtować myśli złowrogie. Prawdopodobnie dokuczył mu chłód nocny, którego nie odczuwał z wiosny pod wpływem głębszej myśli, głód mu jeszcze wprawdzie nie dał się we znaki, lecz patrzy zanadto bystro, by nie dojrzał, że z każdym dniem już mniej owadów, mniej żyjątek. Spostrzega

on, że jeśli tak dalej pójdzie, niechybnie głód zaglądnie i do niego, bo z okwitaniem pewnych roślin, z którymi łączy się ściśle i życie owadów, ubywa coraz bardziej żeru, a z okwitnięciem ostów kończy się piąty peryod występowania owadów, i odtąd coraz ich mniej, bo jedne giną po spełnieniu swego posłannictwa, inne zaś w ukryciu pędzą spokojne życie a wreszcie zapadają w sen zimowy. Straszne dwa widma: zima i głód nie dają teraz ptactwu spokoju, potęgując nieraz do tego stopnia żądzę wrodzoną wędrówki, iż przepędzają nieudolne ptactwo przez szerokie morza, daleko po zagranicę klimatyczną ich potrzeb rzeczywistych.

Okoliczność, iż większa część ptactwa w porze zrównania dnia z nocą wędruje, wprowadziło na myśl, iż ubytek światła i przydłużanie się nocy jest również jedną z przyczyn odlotów i przeciwnie. Ptak, ten twór dla światła i słońca, smutnieje jesienią, podczas naszej mgły i ołowiaoych chmur, objawia szczególny niepokój, a ptactwo wodne szczególnie ten niepokój okazuje, przeciągając rankami i wieczorami. Gorączka wzmaga się coraz bardziej, czem mniejszy krąg zatacza na niebie źródło światła i życia, a wreszcie ptaki „we mgłach“ opuszczają niemiłe strony. „Światła już niema!“ — oto myśl ostatniej pieśni ptaków, treść ostatniego okrzyku w chwili odlotu w kraje cieplejsze (Michelet) — a niemal z tem samem słowem na ustach zgasł jeden z największych geniuszów ludzkości.

Szwedzki poeta Jan Runeberg († 1877) przeczuł i pierwszy wyraźnie wypowiedział, że światło jest motywem wędrówki ptaków; niedługo po nim potwierdziły badania braci A. i K. Mullerów wpływ rzeczywisty światła na ptaki wędrujące. O ile ten wpływ działa i jak daleko sięga, to będzie dopiero zadaniem badaczów przyszłości, to pewna jednak, iż tutaj, gdzie bezpośrednie spostrzeżenia długi czas do żadnych rezultatów doprowadzić nie zdołały, uderzył śmiały geniusz potęgą myśli, a za tą dopiero może ścisłe badania doprowadzą do sedna prawdy. Wszak nie wszystko, co wiemy o przyrodzie, wypłynęło z bezpośredniego spostrzeżenia; częstokroć rozumowania filozofa, lub natchnienia poety wyprzedziły wiedzę przyrodnika, a naiwnie wyglądające i w świecie fantazyi utworzone obrazy, doczekały się już nieraz piętna pewnika i prawdy realnej.

Światło to życie — tylko pod wpływem światła roślinność tlen wydziela, a tylko wobec tlenu da się pomyśleć życie zwierząt. Gdy światło ustępuje miejsce ciemności, zionie w tym państwie Ahrimana cała wegetacya zabójczy kwas węglowy. W ciemności staje się oddech powolniejszym, coraz mniejsza ilość tlenu przebiega płuca, a odbija się to na całym organizmie; powstają objawy chorobliwe, a jeżeli twór do miejsca przywiązany ulega wpływom mgły i niedostatku światła, to ptak wznosi się na skrzydłach i leci za światłem.

Niejedna może tajemnica wędrówek przedwczesnych ukrywa się w tem, iż nieświadomi jesteśmy, jakiego właściwie pokarmu ptactwo pewne wymaga, czy też nie istnieją pewne specyalne pokarmy, pewne tylko nasiona, pączki, pewne poczwarki, owady i t. p., których ptak do swej egzystencyi niezbędnie potrzebuje. Wszak w całym świecie, dostarczającym pokarmów, istnieją istoty spożywalne i niespożywalne pomimo, że rozbiór chemiczny i w jednych i w drugich składniki konieczne do respiracyi i ciałotworu wykazuje; być zatem może, iż w braku tym, niedostrzegalnym dla naszego oka, choć nam się zdaje że ptak opływa we wszystko, wybija właśnie na jego zegarze godzina wędrówki, bo zabrakło w jego pożywieniu jakiegoś składnika, warunkującego jeżeli nie samo życie, to wygody życia? Na podobną myśl wpadł niegdyś Bernardin de Saint Pierre, ów wielki pisarz, podróżnik i marzyciel, lecz myśl jego przebrzmiała jako płód marzycielskiej fantazyi i pozostawiła chyba uśmiech politowania na twarzy nauki.

Niezmordowany Middendorff, słynny badacz Syberyi, doszedł w swych spostrzeżeniach niemal do pewnika, że wędrówka ptaków, w tajemniczy sposób nas opuszczających, nie odbywa się tak szybko, jakby to po locie sądzić należało. Ptak wprawdzie może ulecieć wielkie oddalenie jednym ciągiem, jednak z przyczyny, że się po drodze zatrzymuje, średnia droga, jaką dziennie podczas wędrówki przelatuje, tylko około 4 mile wynosi. Rzecz zastanowienia godna, że niemal równocześnie szwedzki botanik Elias Magnus Fries udowodnił, iż kwiat pewnej i tej samej rośliny w przecięciu co 4 mile, o jeden dzień później się pojawia, idąc z południa na północ, i że tutaj również, po czasowej stagnacyi wzrostu, postępuje znów raźniej wegetacya w wspomnianych przeciętnych odstępach czasu. Dziwna ta łączność i zgoda pomiędzy życiem rośliny a wędrówką ptaka daje dużo do myślenia i niezawodnie współdziałać będzie na drodze nowych odkryć w tym kierunku. Byłyby to owe słabe błyski światła na ów cały gmach tajemnic, jakie pokrywają powody wędrówek niektórych ptaków

Co do pobudek wędrówek ogółu ptaków nieosiadłych, zdają się brak żeru i temperatura być głównymi sprężynami, a udowodniają to poniekąd owe gatunki ptaków, które dla żeru, a nie pod wpływem temperatury, przedsiębiorą wędrówki w nieregularnych odstępach czasu, chociaż i tu dostrzeżono, iż wędrówki te są powodowane częstokroć zbytnią rozmnożą jakiegoś gatunku, która, utrudniając warunki bytu w jakiejś okolicy, zmusza pewną część ptactwa do wędrówek a nawet do wyszukania sobie innej ojczyzny. Konsekwentnie idąc dalej, musimy przyjść do wniosku, iż regularnie powtarzające się zmiany pór roku, zatem zmiany temperatury, niemniej zmiany w zasobie żywności, zależne od zmian poprzednio wymienionych, muszą wywoływać coroczne wędrówki u ptaków, zależnych nietylko od żeru ale i od temperatury.

Nie jestem w stanie przytoczyć tu wszystkie spostrzeżenia u rozmaitych gatunków ptaków na poparcie powyższego zdania. zwrócę tu tylko uwagę na wędrówkę ptaków drapieżnych, które oddawna i najbardziej mnie zajmowały, bo sądziłem zawsze, iż spostrzeżenia na tych gatunkach, więcej swem zachowaniem w oczy wpadających, doprowadzić mogą prędzej do jakichś wniosków co do właściwych pobudek wędrówki.

Otóż, nie ujmując bynajmiej znaczenia poruszonym już powyżej pobudkom, byłem i jestem przekonania, iż ptaki drapieżne za żerem wędrują. O ile sięgają moje doświadczenia, wędrują u nas ptaki drapieżne, bądź pojedyńczo, bądź w małych bardzo stadkach, wspólnie za tym gatunkiem ptaków, którym się po drodze żywią. Wielkie mają swoich specyalistów, drobne konwojują inne gatunki, i to tak uparcie, że wiele drobnych ptasząt przeciw swej naturze nocami wędrować musi, choć im to, jak się zdaje, niewiele pomaga, bo o tej porze muszą się znów trzymać ptaki nocne drapieżne zwyczajów swych dziennych pobratymców.

Rok ubiegły, rok klęski popielowej, nastręczył mi pod tym względem ciekawych doświadczeń. Za myszami polnymi wędrowały najrozmaitsze ptaki drapieżne, których poprzednio w okolicy nie zauważałem; co więcej, widziałem już w zimie dość często na polach uganiające za myszami sokoły leśne (kobuzy) ***(Falco subbuteo)***, myszołowy ***(Falco bu-***

teo) wspólnie z myszołowami włochatymi *(Falco lagopus)*, przybyłymi z północy zapewne. Prawdopodobnie zatem obfity żer powstrzymał owe ptaki w zwykłej wędrówce na południe, ze zniknięciem bowiem myszy w styczniu wyniosły się i one.

Wynikałoby ztąd, że w obec wszystkich możliwych pobudek do wędrówki, brak żeru jest główną i zapanowującą nad wszystkimi innymi, przynajmniej u gatunków drapieżnych.

Na drugiej półkuli znalazłem podobne doświadczenie opisane w czasopismie „die Natur“ z r. 1886 str. 190. a podane przez Dra Stolla w dziele „Guatemala“. Myszołowy, amerykańskie *(Buteo Schwajsonii)* pojawiają się tam zwykle w połowie października, lecąc z północy w stadach tysiące egzemplarzy liczących, a w marcu powracają na północ i przepędzają lato w Stanach Zjednoczonych Pojawienie się jednak w Ameryce południowej w Guatemali szarańczy *(Schistocera peregrina)*, sprowadziło pewne różnice w wędrówkach tego ptaka; trzymały się one kierunku przelotu szarańczy i nie udawały się już tego roku do Patagonii, jak to co roku czynić zwykły.

Wiele gatunków, jak np. nasze gołębie, siniaki i grzywacze, które znosić mogą doskonale bardzo niską nawet temperaturę, bo zimowały w nieopalanych gołębnikach przy długotrwałych i silnych (—16° R) mrozach, wędrują wprawdzie, ale wracają do nas bardzo wcześnie. Grzywacze widywałem nieraz jeszcze w listopadzie, a były z powrotem już w lutym, widocznie zatem, iż ptak, którego ustrój znosi niską temperaturę, wynosi się tylko, aby uniknąć braku żywności podczas nawalnych miesięcy zimy, bo z mrozami spotyka się najczęściej, wróciwszy już do nas. Widoczne są tu wpływy, jakie brak żeru wywiera, gdyż obawa przed niską temperaturą nie ma tu wcale miejsca. Przeciwnie, inne ptaki udowodniają przeważny wpływ temperatury na wędrówkę, przybywają bowiem dopiero wtedy, gdy temperatura średnia do pewnego stopnia się podniosła, pomimo, iż już o wiele wcześniej znaleśćby mogły u nas podostatkiem żeru, jak n. p. kukułka, dudek, przepiórka i wiele innych.

C. d. n.

KRÓLOWA OŻYN.

Z bajki i z życia.

„W gaiku zielonym dziewczę rwie jagody“ -- tak było rzeczywiście, z tą tylko różnicą, że nie był to gaik, lecz pyszna knieja górska. „Na koniku wronym jedzie chłopiec młody“ — i to się zgadzało, tylko że chłopiec nie jechał na koniu, ale szedł ze strzelbą na ramieniu i z psem u nogi.

Dziewczę stało wśród wysokich krzaków ożyn i podnosiło ręce w górę, ażeby zrywać najdojrzalsze jagody. Pierś jej wznosiła się przytem i rysowała wyraźnie pod osłoną przejrzystego, białego muślinu, cała postać przechylała się lekko w tył, z wdziękiem nieporównanym, a włosy, związane przy głowie pąsową wstążką, lecz dalej wolno rozpuszczone, rywalizowały swym niebiesko-czarnym połyskiem z barwą dojrzałych jagód.

Cała postać była biała, w sukni powłóczystej, w górze zaś w rozkosznej koszulce o bogatym hafcie ukraińskim, z mnóstwem złotych monet na szyi, na wzór cygański, i ze złotym półksiężycem w kruczych włosach, dziko nad czołem poplątanych. Gdy chwytała gałązki z jagodami, opadały jej poniżej łokcia haftowane i blaszkami wyszywane rękawy, ukazując rękę prześlicznie toczoną a lśniącą od białości na tle ciemnych liści. Obok, na pniu ściętego buka, leżał kapeluszyk mały, jakby cygański, także z otokiem złotych monet.

Chłopiec stanął jak zaklęty. Ją spłoszył szelest kroków; przelotny rumieniec okrasił jej lica, rzuciła się naprzód, lecz kolce ożynowe przytrzymały zazdrośnie powłóczystą suknię, odsłaniając małe nóżki w sandałach z białej skóry. Dziewczę schyliło się z niecierpliwością, odczepiając fałdy sukni — a wówczas część szyi i ramienia błysnęła z pod czarnych splotów.

Chłopiec rzucił strzelbę na paprocie, i, nie panując nad sobą, poskoczył parę kroków naprzód z rękami, wyciągniętymi do cudownego zjawiska.

— Rusałka czy Djanna? — zawołał, sam nie wiedząc co mówi i skąd mu się głos w piersiach bierze.

Ale dziewczyna uwolniła już suknię z zazdrośnych uścisków krzaka, a wziąwszy w rękę bogate jej fałdy, wyskoczyła na pniak bukowy.

— Królowa — odrzekła, podnosząc dumnie czoło do góry — lub niewolnica! — dodała głosem, słodkim jak powiew rozkoszy, padłszy przytem na kolano i skrzyżowawszy ręce na piersiach.

Było to jak mgnienie błyskawicy. W tej chwili bowiem zerwała się zagadkowa czarodziejka, a poskoczywszy po za krzewy ożynowe, pozostawiła za sobą tylko kaskadę srebrnego śmiechu.

Chłopiec skamieniał. Pies szczeknął i rzucił się kilka kroków naprzód, wkrótce jednak stanął, zwróciwszy głowę ku swemu panu, jakby pytając, co robić? W tej chwili odezwał się tętent w gęstwinie. Czy jeleń zaczarowany czy skrzydlaty Złotogrzywek uniósł rusałkę na wieki.

Darmo ocucony z uroków młodzieniec szukał śladów zjawiska wśród odwiecznych świerków i buków. Pozostała po niej tylko jakby smuga woni i złota monetka na pniu bukowym, monetka z tej śnieżystej szyi, która tak dumnie potrząsała głową, gdy usta mówiły:

— Królowa!

*
* *

Czy młodzieniec wiedział, że rusałki, tak, jak niedźwiedzie, wracają zawsze do dojrzałych jagód?

Musiał wiedzieć, gdyż od tej chwili spieszył mimowoli do tego dzikiego ostępu, do tego pnia bukowego, gdzie mu się zjawiła rusałka.

Od dwóch tygodni przebiegał parowy i złomy tej dzikiej kniei górskiej, i nigdzie nic nadzwyczajnego nie spostrzegł. Nagle pojawiła mu się „królowa“ czy „niewolnica“.

Wszelkie wypytywania ludzi miejscowych nie dały mu wyjaśnienia: Kto to był taki? Kto jej dał prawo zbierania jagód w tej kniei? Jaki czarodziej ją tam zaklął? Chciałby ją samą o to zapytać, lecz nadaremnie zakradał się przez dwa dni do miejsca zaczarowanego. Nie było tam nikogo.

Trzeciego dnia, gdy zbliżał się ku krzewom ożynowym, posłyszał szelest. Był już ostrożnym. Wziął konia, ażeby nie dać umknąć tajemniczemu zjawisku. Teraz zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa, a sam popełzał ku krzakom.

W istocie piękna szkodnica przechylała gałązki i malinowymi ustami chwytała czarne, błyszczące jagody.

Młodzieniec podkradał się tak ostrożnie, że stanął nagle przed nią, jakby z ziemi wyrósł. Myślał, że ją przerazi, lecz się zawiódł; wielkim ogniem zapłonęły jej tylko czarne jak węgiel źrenice, ale spojrzała spokojnie i z dumą.

— Gdzie twoje królestwo? — zapytał chłopiec, oparłszy się o strzelbę.

— Gdzie tylko stoję — odrzekła, przeszywając go do głębi.

— Jak się nazywasz?

— Królowa ożyn — rzekła dziewczyna z wyzywającym uśmiechem.

— Nad czem królujesz?

— Nad sercami.

— Więc jesteś i moją królową.

— Jeżeli masz serce — rzekła groźnie dziewczyna.

— I serce i duszę i wszystko składam u stóp twoich — zawołał chłopiec z zapałem.

— Więc na kolana przed królową! — rzekła dziewczyna, podnosząc gałązkę ożynową jak berło.

Chłopiec padł na kolana.

Lecz był to tylko wybieg królowej. Ona drzała w głębi jak liść osikowy, choć była na pozór groźną — drzała, bo chciała się wymknąć. Gdy więc młodzieniec ukląkł i schylił głowę, ona wysunęła się poza krzaki i dosiadła konia.

Chłopiec spostrzegł zdradę, lecz nie dał za wygranę. I on poskoczył ku swemu wierzchowcowi i rozpoczęła się istna gonitwa.

Pomiędzy buki i świerki przewijała się jak błędny ognik biała sukienka w szalonym pędzie, a za nią, jak za gwiazdą fatalną, która wiedzie nad urwiska i przepaście choćby na złamanie karku, pędził rozszalały młodzieniec. Myślał, że lada chwila rozstąpią się skały i wpuszczą królowę ożyn do zaczarowanego pałacu, gdzie kolumny z ametystów, ściany z rubinów a świeczniki z brylantów — lecz zamiast pałaców ukazał się wkrótce skraj lasu.

Przestrzeń między nią a nim zmniejszała się z każdą minutą. A gdy dobiegał do leśnej drożyny, która wiodła w pole, ujrzał nagle, że królowa ożyn nie była samą. Towarzyszył jej najprozaiczniejszy masztalerz w liberyi, który z dosyć dziwną i niebardzo zachęcającą miną oglądał się na młodzieńca.

Droga leśna wiodła ku dolinie, na którą z brzegu lasu szeroki roztaczał się widok.

Młodzieniec, dostrzegłszy, że pościg nie tylko był daremny, lecz nawet niegrzeczny, osadził konia i spojrzał przed siebie. W dolinę spadał potok, rozbijając swe wody o skały i lecąc z szumem dalej między kamienistymi brzegami. Poza nim wznosiła się łagodnie pochyłość drugiej, znacznie większej góry, a w połowie jej wysokości, na urwisku skalnem, wznosił się zameczek myśliwski. Nie był on całkiem opuszczony, lecz jak młodzieniec wiedział, zdawna już niezamieszkały. Tymczasem ku temu zameczkowi, drożyną trawami zarosłą, skierowała się królowa ożyn i jej po angielsku wygolony masztalerz. Przybyli potok, najeżony kamieniskami i wkrótce zniknęli na zakręcie wąwozu.

Któż mógł przewidzieć, że opuszczony zameczek zamieszkują rusałki?...

* * *

Prysnął czar tajemniczości. W najbliższem miasteczku dowiedział się młodzieniec, że rusałek nie ma na świecie, i że w myśliwskim zameczku osiadła na czas pewien ekscentryczna hrabina Julia, owdowiała przed kilku miesiącami po siedmdziesięcioletnim milionerze.

Młodzieniec był jej najbliższym sąsiadem. Wypadło sąsiadkę przeprosić za niegrzeczne zachowanie się, za zakłócenie spaceru leśnego — rzucił się więc do faetonu i zajechał przed leśny zameczek. Serce mu biło gwałtownie, czy będzie przyjęty, czy nie. Na szczęście kamerdyner, zaniósłszy bilet, otworzył drzwi przed nim.

Królowa ożyn przyjęła młodzieńca uśmiechem i dłonią przyjaźnie wyciągniętą, jak dobrego przyjaciela.

— Czy mi pan przywozisz kartkę na wolne zbieranie jagód w pańskich lasach?

— Nie kartkę lecz cały arkusz z petycyą o wolną dewastacyę — odparł młodzieniec z uśmiechem — a przytem szczerą prośbę o przebaczenie za natarczywość...

— Natarczywość? Siadaj pan. Jeżeliś pan wierzył, że masz rusałkę przed sobę, to nie wiele objawiałeś strachu — przyznaję — ale jeżeli w oczach pańskich była to tylko szkodnica, zakradająca się na cudze jagody — to byłeś dość uprzejmy.

— Wszak nie mam miny niedźwiedzia...

— Czyż na to trzeba mieć minę drapieżnika? Jestem wdową, przez lat trzy byłam żoną starego męża. Pan wiesz co to znaczy i jak się na to patrzy młodzież pańskiego wieku... Jestem rusałką doświadczoną, znająca wiele tajemnic i wierz mi, najwięcej drapieżności widziałam pod maską słodkiego układu...

Młodzieniec wyciągnął naprzód obie ręce.

— Proszę sprawdzić, żem niewinny.

— Co mam sprawdzić?

— Żem nie schował pazurów — rzekł z uśmiechem młodzieniec.

— Lecz w jednej chwili panu odrosną — mówiła hrabina, uderzając wachlarzem z lekka po wystawionych rękach. Wszyscyście do siebie podobni. Nam zarzucacie próżność, a sami jesteści nad wyraz próżni, staracie się zdobywać fałszem a nie siłą, podstępem a nie odwagą. Jesteście drapieżnikami niskiego rodu, wcale nie lwami, ani nawet niedźwiedziami...

— Do tego nas zmuszają fałszywe liszki wieku dzisiejszego — odciął się młodzieniec.

— Masz pan słuszność — rzekła hrabina — lecz w moim rewirze nie ma wcale liszek. Nauczyłam się gardzić otwarcie wielu mężczyznami, i mam odmienne wyobrażenie o ideałach. Jesteście bez wiary, bez woli, bez siły, bez odwagi, bez tego spokoju ducha, którym obdarza skończony charakter i macie pretensyę przewodzić kobietom. Czyż kobieta z sercem może istotnie składać cugle swej przyszłości w ręce takich istot zblazowanych?...

— Przepraszam — przerwał młodzieniec z żywością — lecz czy są jeszcze kobiety z sercem? To chyba rzadkość archeologiczna...

— Choć czasem bardzo młoda — przerwała hrabina. — Kobiety są równie złe jak wy. bo je źle wychowujecie, bo je czynicie sami fałszywemi. Tymczasem kobieta, czy w chacie czy w salonie, zawsze jest jedną. Kocha naprawdę tylko wtedy, gdy uznaje wyższość ukochanego, kocha wtedy, gdy się boi, królować umie tylko na to, aby pobudzić do bohaterstwa i stać się niewolnicą bohatera. Jeżeli wy sami postawicie lalkę na piedestalu salonowych konwenansów i bijecie czołem przed nią — to wtedy kobieta nie jest ani królową ani niewolnicą, lecz staje się pogańskim bałwanem!

— A jakichże bohaterstw mamy dokonywać — pytał młodzieniec — abyście panie w nas uwierzyły? Czyż chcecie nas wysyłać zawsze po krokodyle do Nilu, jak Papkinów?

— Nie tak daleko — rzekła królowa ożyn, przenikając młodzieńca spojrzeniem tak głębokiem, że aż mu w głowie się mroczyło — nie tak daleko! Na każdym kroku może mężczyzna składać dowody, że jest panem natury, panem stworzenia, panem samego siebie i panem kobiety — a nie frygą salonową, waletem karcianym lub trubadurem przelotnych miłostek...

— Tyle niełaski dla całego rodu męskiego — szepnął młodzieniec. — Więc królowa ożyn...

— Jest tylko królową! — rzekła hrabina podnosząc się z kozetki i prostując się wdzięcznie w całej swej majestatycznej powadze.

A gdy to wyrzekła, zniknął uprzejmy uśmiech z ust jej; spoglądała zimno, a z taką siłą demoniczą, że biedny młodzieniec czuł się jak motyl, szpilką do korka przypięty.

Ruch i spojrzenie wskazywały mu wyraźnie, że już za długo jest gościem królowej. Zerwał się więc i z niezgrabnym ukłonem wymknął się z rusałczanego zamku.

* * *

Nie kochali się w sobie, lecz byli przyjaciółmi — a raczej młodzieniec nie mógł żyć bez niej, chociaż czuł to, że ona może być dla niego tylko królową, nigdy niewolnicą.

Roił o bohaterstwach — zrywał się, aby świat cały obiec, lwa rozedrzeć jak Samson, hydrę zwyciężyć jak Herkules. do stóp rzucić jej trofea bohaterskich czynów.

Ona śmiała się z niego, wachlarzem go chłodziła, gdy się unosił, prelegowała, że znamieniem siły i bohaterstwa, to zimna krew i spokój.

— Nerwowy wasz wiek — mówiła — wydaje tylko tchórzów, kłamców i niedołęgów. Prawdziwy charakter, to posąg — a posąg jest zimny i spokojny.

Tedy on pozował jak posąg, i miewał czoło posępne i mawiał ponurym głosem, że największe bohaterstwo to w łeb sobie palnąć — a ona śmiała się znowu i nazywała go dzieciuchem, Bajronkiem, Manfredkiem.

Nie przeszkadzało to wcale, że odbywali razem konne przejażdżki lub wyprawy myśliwskie o brzasku dnia w dzikie ostępy, na rykowiska jeleni lub ku sarnim lizawkom nad potokiem, gdzie zwierz pić przychodzi.

A przyroda siała urokami najwyższej potęgi. Już dzień stawał się krótszym, już życie roślinne, doszedłszy do pełni, zaczęło zamierać — lecz, jakgdyby ratując je od śmierci, siało jeszcze słońce żarami lata, a mgła nocna obmywała bujnymi rosami wszelki las i łąkę. Była też i świeżość lata i owa jędrność chłodów jesiennych, która zdaje się potęgować siły do zwalczania wszelkich przeciwieństw, nawet śmierć samą.

Raz, pod wieczór, młodzieniec i rusałka skierowali swe wierzchowce ku owej miejscowości, gdzie pierwszy raz się spotkali. Byłto stok, spadający lekko ku głębokiemu jarowi, zarośnięty bujnie krzewami malin i ożyn. Na malinach usychał już liść, stawał się żółty i brunatny, lecz ożyny, pełne sił, okryte ciemną zielonością, obsypane były jeszcze mnóstwem dojrzałych jagód. Łakoma na nie amazonka wstrzymała konia, a rzuciwszy lejce masztalerzowi, podskoczyła ku dojrzałym jagodom. Młodzieniec już był przy niej, nachylał gałęzie i syczał od czasu do czasu, gdy go kłuły kolce.

— Jesteś pan w mojem królestwie — mówiła śmiejąc się hrabina — a za to szczęście warto się dać pokłuć. Zresztą, za cierpienia nagroda — oto dojrzała ożyna — rzekła, wysuwając owoc w małych różowych paluszkach.

Młodzieniec przechylił się, lecz zamiast zjeść owoc podany, ucałował końce różowych paluszków.

— Niezgrabny! — ofuknęła królowa umykając z ręką.

— To druga pamiątka z tych miejsc zaczarowanych — rzekł młodzieniec.

— A jakaż pierwsza?

— Skarb, za który mógłbym kupić nawet królowę ożyn, amulet cudowny, który noszę na sercu.

Mówiąc to, wydobył młodzieniec monetkę, znalezioną ongi na pniaku bukowym.

— Ach, to nie amulet — zawołała ze śmiechem — to należytość za ożyny dla właściciela kniei. Niceśmy sobie niewinni.

— Więc królowa ożyn nie dozwoli się nigdy detronizować? Nie stanie się nigdy niewolnicą serca?

— Nig...

Nie dokończyła zaczętego wyrazu, bo stało się w tej chwili coś nadzwyczajnego.

Konie, trzymane przez masztalerza, zerwały się gwałtownie, parskały i dzwoniły wędzidłami, a w oczach ich malował się przestrach — hrabina pobladła i z na wpół otwartymi ustami, a ręką wzniesioną ku górze, skamieniała jak posąg W pobliżu jej odezwał się złośliwy i groźny pomruk.

Królowa ożyn miała stołownika, o którym nikt nie wiedział. Był to niedźwiedź, łasy także na ożyny i niezadowolony, że mu je ktoś inny wybiera. Stał on tuż obok, skryty w gęstwinie, a gdy ujrzał ludzi, mruknął z niezadowoleniem.

Młodzieniec jednym rzutem oka przeniknął grozę położenia. Chwyciwszy więc dubeltówkę, stojącą pod drzewem, poskoczył pomiędzy królowę a drapieżnika i strzelił.

Strzały, chociaż kulami, nie były śmiertelne. Myś wydał ryk przeraźliwy, a stanąwszy na tylne łapy, rzucił się na młodzieńca.

Krzyk trwogi, przeraźliwy, wstrząsający do głębi, wyrwał się z piersi hrabiny.

Lecz młodzieniec nie był bezbronny W wycieczki na jelenie brał zawsze kordelas do boku. Krzyk trwogi, prawdziwy krzyk serca, podniecił w nim całe męstwo; uczuł się w istocie bohaterem. Zwyciężyć lub paść u jej nóg — to mu się wydało nadziemską rozkoszą. Rzucił dubeltówkę i wydobył kordelas.

A była to chwila ostatnia. Jedna ze strasznych łap chwytała już jego lewe ramię, druga wznosiła się, ażeby mu zmiażdżyć czaszkę. Wówczas prąd jakiejś herkulicznej siły przebiegł po żyłach młodzieńca. Podniósł rękę z kordelasem i jak piorun ugodził nim niedźwiedzia w bok. Kordelas utkwił aż po rękojeść w sercu drapieżcy. Z rykiem ostatnim zwalił się u stóp królowej ożyn, posocząc strugą krwi białą jej amazonkę.

W oczach hrabiny zmieszał się ogień ze łzami, najwyższa trwoga z rozkoszą. Zarzuciła ręce na ramiona młodzieńca, a skłoniwszy głowę na jego piersiach, rzekła drżącym, przejmującym szeptem:

— Niewolnica...

* * *

Stara to historya.

Kobieta korzy się tylko przed siłą i męstwem. Niewolnicy, wziętej w ten sposób do niewoli, tylko śmierć wolność przywraca. Króluje ona, przyozdobiona najświetniejszą z koron, koroną obowiązków niewieścich, a z własnej woli jest ich niewolnicą.

Zameczek myśliwski rozlegał się odtąd słowami miłości, jakich rusałki i bóstwa nie znają, a wkrótce opustoszał na długo.

Gdy mgły zaległy w dolinach i nie ustępowały już z nich w późne poranki i smętne wieczory — gdy lasy poczęły się kurzyć i przestały się już wdzięczyć do bożego słonka, a jęły płakać deszczem martwych liści — gdy szrony poranne wypędziły już ostatnich śpiewaków z gęstwiny leśnej — frunęła także para zakochanych, aby szukać milszej, cieplejszej pieleszy.

Może to bajka, a może i prawda. Lecz i dla bajki jak dla prawdy jest miejsce w naturze.

St.

W sprawie ustawy łowieckiej.

(Dokończenie.)

W §. 49-tym należałoby, ze względu na wykreślenie w §. 2-gim kuny leśnej, kuny kamionki i lisa, dopisać przed słowem borsuk, słowa: kuna leśna, kuna kamionka, lis. Drugi ustęp tego paragrafu opiewać tedy powinien: „Następujące zwierzęta jako to: kuny leśne, kuny kamionki, lisy, borsuki, tchórze“ i t. d.

W ustępie 4-tym §. 49. potrzebnym jest następujący dodatek: „O zarządzonych przez władzę polityczną wyżwspomnianych obławach z nagonką, które pod jej dozorem odbywać się mają, powinien być uprawniony do polowania ze strony tejże władzy w należytym czasie powiadomionym. Władzy politycznej przysłuża prawo zapraszać do wzięcia udziału w tychże obławach i tych mieszkańców, którzy nie posiadają ani karty polowania, ani certyfikatu. Gmina, w której interesie odbywają się takie obławy publiczne, obowiązaną jest dostarczyć na wezwanie władzy politycznej potrzebną nagonkę bezpłatnie“.

„Przy obławach tego rodzaju nie wolno strzelać żadnej innej zwierzyny, jak tylko tę, na którą polowanie zarządzono. Ubita przy tej sposobności zwierzyna należy się uprawnionemu do polowania, na którego obszarze takową ubito, tenże wypłacić jednak winien dotyczącemu myśliwemu takie same strzałowe, jakie on z funduszów krajowych otrzymuje“.

„Uprawnionym do łowienia wyżej wymienionych zwierząt wolno się posługiwać także żelazkami i pułapkami; takowych nie wolno jednak nastawiać w miejscach takich, gdzie wyniknąćby z tąd mogło niebezpieczeństwo dla ludzi lub zwierząt domowych. W każdym razie zaopatrzyć je należy znakami, które każdy łatwo spostrzec i rozpoznać może. Miejsca, w których nieuprawnieni do polowania nastawiać zamierzają żelaza lub pułapki, winni ci podać poprzednio do wiadomości uprawnionemu, czyli właścicielowi polowania. Nastawianie samopałów jest bezwarunkowo zakazanem. Jejeżeli uprawniony do polowania tępić chce zwierzęta za pomocą zatrutej padliny lub innych środków trujących, (orzeszków lub zatrutych części zwierzęcych) winien postarać się poprzednio o przyzwolenie powiatowej władzy politycznej. Gdyby to dla braku czasu możebnem nie było, wolno uprawnionemu do polowania, w interesie ochrony łowiectwa, użyć wyżwymienionych środków trujących natychmiast, obowiązanym jest wszakże donieść władzy politycznej bezzwłocznie o dokonanych zarządzeniach i powodach tychże. Przy używaniu w mowie będących środków tępienia zachowaną być ma największa ostrożność i przedsięwzięte wszelkie zarządzenia dla ochrony bezpieczeństwa publicznego. Środków trujących nie wolno zakładać w miejscach, gdzie mogłoby się to stać niebezpiecznem dla ludzi lub zwierząt domowych. Zakładanie tego rodzaju środków tępienia ogłoszonem być ma w odpowiedni sposób i w należytym czasie tak w obrębie gminy własnej, jako też gmin sąsiednich. Wydział powiatowy wypłacać będzie z funduszów krajowych w każdym razie, a więc i wtedy, gdyby zwierz ubitym został na zarządzonych przez powiatową władzę polityczną obławach — za ubicie poniż poszczególnionych zwierząt drapieżnych — następujące strzałowe, a mianowicie:

a)	za niedźwiedzia do wieku 1-go roku	5 złr.
b)	„ „ starszego	10 „
c)	„ wilka do wieku 1-go roku	2 „
d)	„ „ starszego	4 „
e)	„ rysia	5 „
f)	„ żbika	3 „

Dla otrzymania strzałowego winien myśliwy autentycznie udowodnić, że istotnie ubił zwierza, za którego premii żąda“.

Uzasadnienie. Dodatek do 4-go ustępu tegoż paragrafu, jakoteż dodatek ogólny, niemniej postanowienie o wypłacaniu z funduszów krajowych strzałowego za ubicie zwierząt drapieżnych, wydaje się z tego powodu wskazanem, aby właściwe, zasadnicze postanowienie mieściło się już wyraźnie w ustawie samej i tym sposobem zabieżono wydawaniu dodatkowych przepisów uzupełniających.

§. 50-ty powinienby opiewać: „Właściciele psów czuwać winni nad tem, aby psy po cudzych obszarach polowania nie polowały. Przepisu tego nie przestrzegający właściciel psów karanym być ma grzywną od 50 ct. do 2 złr. Koty, przydybane na cudzym obszarze polowania w odległości co najmniej 200 metrów od najbliższej osady, tudzież psy, wałęsający się w odległości 300 metrów bez właściciela swego, wolno uprawnionemu lub właścicielowi polowania zabić lub zabić kazać“.

Uzasadnienie. Oznaczeniem pewnej odległości od najbliższego domostwa i opuszczeniem warunku wstępnego, że tylko psy zwierzynę goniące zabijane być mogą, określonem będzie dokładniej prawo zgładzenia pomienionych, łowiectwu bez wątpienia szkodliwych zwierząt domowych, i zapobiegnie się rozlicznym nieporozumieniom.

§. 52-gi powinienby opiewać: „W czasie ochrony nie wolno zwierza w ochronie będącego ani gonić, ani łowić ani też zabijać“.

„Czas ochrony ustanawia się następująco a mianowicie dla:

1) Jeleni i danieli . .	od 1. stycznia	do 30. czerwca
2) Kozłów	„ 1. marca	„ 31. maja
3) Zajęcy	„ 1. lutego	„ 15. września
4) Jarząbków	„ 1. „	„ 31. sierpnia
5) Cietrzewi i głuszców	„ 15. maja	„ 31. „
6) Bażantów i kuropatw	„ 1. grudnia	„ 15. „
7) Przepiórek i dzikich gołębi	„ 1. listopada	„ 15. lipca
8) Dropiów i pardw . .	„ 15. kwietnia	„ 31. „
9) Ptactwa błotnego jako to: kszyków, dubeltów i t. p. . . .	„ 15. kwietnia	„ 30. czerwca
10) Słonek	„ 20. „	„ 31. sierpnia
11) Ptactwa wodnego jako to: gęsi i kaczek .	„ 15. kwietnia	„ 15. „
12) Łań, kóz, cieląt, szpiczaków, kozic, świstaków, kur, głuszców i cietrzewi .	„ 1. stycznia	„ 31. grudnia

Uwaga. Czas ochrony dla zwierza użytecznego oznaczonym jest obecnie ustawą krajową z dnia 30. stycznia 1875; polowanie i ubijanie przebywających w Tatrach kozic i świstaków zakazanem jest ustawą krajową z dnia 19. lipca 1869. (Nr. 26. dzien. ustaw kraj.).

§. 54-ty powinienby opiewać: „Jeżeliby w pewnym obszarze polowania, na podstawie poprzedniego zbadania sprawy przez powiatową władzą polityczną, okazała się potrzeba zmniejszenia stanu pewnego gatunku zwierzyny ze względu na zagrożoną przez takową gospodarkę rolną lub leśną, zarządzi krajowa władza polityczna na podstawie wniosku powiatowej władzy politycznej, uczynionego w porozumieniu z Wydziałem powiatowym, odstrzelenie w tymże obszarze pewnej ilości rzeczonej zwierzyny nawet w czasie ochrony. Wobec takich warunków przysłuża krajowej władzy politycznej zarówno prawo, znieść dla pewnego obszaru polowania ochronę zwierzyny na pewien czas zupełnie, który to czas jednak dłużej niż jeden rok trwać nie powinien“.

§. 55-ty powinienby opiewać: „Krajowa władza polityczna ma prawo na wniosek powiatowej władzy politycznej, uczyniony w porozumieniu z Wydziałem powiatowym, przyzwolić w pojedyńczych lub wszystkich obszarach polowania pewnego powiatu odstrzeliwanie pewnych gatunków zwierzyny po nastaniu już, lub przed upływem czasu ochrony, jeżeli to uzasadnionem będzie ze względu na stosunki miejscowe i klimatyczne. Wyjątki te jednak nie mogą być przyznane na czas dłuższy, jak jeden rok“.

§. 56-ty powinienby opiewać: „Krajowej władzy politycznej przysłuża prawo, na wniosek powiatowej władzy politycznej, uczyniony w porozumieniu z Wydziałem powiatowym, zakazać zupełnie w jednym lub wszystkich obszarach pewnego powiatu polowanie na pewne gatunki zwierzyny, jeżeli osobliwsze okoliczności tego wymagają, a to na przeciąg jednego roku“.

„Z takiego zakazu nie urasta dla dzierżawcy polowania prawo roszczenia sobie pretensyi do opustu bądź to całego bądź części czynszu dzierżawnego.

Uzasadnienie. Znaczniejszy odstrzał zwierzyny, ograniczenie, chwilowe zniesienie lub przedłużenie czasu ochrony, są środkami, których oddziaływanie na stan zwierzyny pożytecznej zanadto wielkiej jest doniosłości, aby je zarządzano na dłuższy przeciąg czasu jak rok jeden, i aby takowe pozostawić ocenieniu lokalnej władzy, która pod bezpośrednim wpływem interesowanych nie zawsze jest w stanie objektywnie rzecz ocenić. Przeciw tej ewentualności nie daje i powoływanie rzeczoznawców należytej rękojmi, gdyż kwalifikacya tychże nie ubezpiecza, że posiadają potrzebną wiedzę fachową.

Branie udziału w odnośnych czynnościach Wydziału powiatowego uzasadnia się tem, że każde takie zarządzenie dotyka interesu polowania w lokalnej lub sąsiednich gminach, a polowanie to stanowi część majątku gminnego.

W §. 57-mym ustęp 1-szy i 2-gi powinienby opiewać: „Po upływie 14 dni od dnia nastania czasu ochrony i przez cały dalszy przeciąg tego czasu, zwierzyna ochroną objęta nie śmie być w sklepach, na targach, w restauracyach, lub w jakikolwiek bądź inny sposób sprzedawaną, a to ani w żywym stanie, ani ubita, czy to w całych sztukach, czy też rozebrana. Zakaz ten odnosi się również do zwierzyny, która pochodzi z poza granic kraju, nie odnosi się jednak do zwierzyny, ubitej na oznaczonych w §. 5-tym lit. a. samodzielnych okręgach myśliwskich (zwierzyńcach) lub też w wykonaniu postanowień §. 54-go i 55-go w czasie ochrony“.

Uzasadnienie. Z powodu często wydarzających się przeszkód i przerw komunikacyjnych jest dla Galicyi koniecznie potrzebnym termin 14 dniowy, po ulywie którego dopiero zastósować należy rygor §. 57-go.

§. 58-my powinien opiewać: „Poświadczenia na przyzwolone wyjątki z pod zakazu w §. 57-mym zawartego, udzielać będzie, w celu możebności spieniężenia zwierzyny, przy zachowaniu potrzebnych ostrożności przeciw wszelkim możebnym nadużyciom, co do zwierzyny ubitej w zwierzyńcach (§. 5-ty lit. a.) tudzież zwierzyny ubitej w wykonaniu postanowień §. 54-go i 55-go w czasie ochrony, powiatowa władza polityczna, zaś co do zwierzyny nabytej przy zarządzonej w myśl §. 57-go sprzedaży, przełożony gminy lub obszaru dworskiego.

Uzasadnienie. Bezwarunkowe ograniczenie sprzedaży zwierzyny ze zwierzyńców pochodzącej, na oznaczony ustawą czas łowny, byłoby niesłusznem, gdyż ubicie zwierzyny w zwierzyńcach ani nie uszczupla prawa trzecich osób, ani też szkody nie przynosi interesom łowiectwa w ogóle.

§. 61-szy powienby opiewać: „Szkodę, wyrządzoną przez łowną zwierzynę przechodnią lub z miejsca na miejsce się przenoszącą, wynagrodzić winien właściciel polowania tego obszaru, na którym szkoda wyrządzoną została.

Uzasadnienie. Stylizacya ta byłaby jaśniejszą i zapobiegałaby mylnym zapatrywaniom co do wynagrodzenia szkód przez zwierzynę wyrządzonych.

§. 67-my powinienby opiewać: „Szkody, wyrządzone przez zwierzynę na ziemiopłodach dojrzałych lub już zżętych, ale z pola nie zabranych, wynagradzane być mają

tylko wtedy, gdy udowodnionem będzie, iż przedsiębrano takie środki zaradcze, które w zwykłych warunkach są w stanie ochronić od szkód wyrządzonych przez zwierzynę".

Uzasadnienie. Zmianę tę proponuje się z powodu, że twierdzenia jednej lub drugiej strony, jakoby ziemiopłody, w czasie gdy szkoda wyrządzoną została, można było wśród zwykłych okoliczności z pola jeszcze zabrać lub nie, wymagają dla rozstrzygnięcia sprawy często powołania osobnych sądów polubownych, a rozprawy te połączone są nie tylko ze stratą czasu ale też z ofiarami pieniężnymi.

Do §. 72-go proponuje się następujący dodatek: „Przy wspomnianych usiłowaniach przeprowadzenia ugody, spisanem być ma protokolarnie tak żądane przez poszkodowanego wynagrodzenie za wyrządzoną mu szkodę, jako też ofiarowane przez właściciela polowania odszkodowanie".

Uzasadnienie. Postanowienie to wskazanem jest w tym celu, aby mieć pewne podstawę do przewidzianego w §. 79-tym rozstrzygnięcia kwestyi co do zwrotu kosztów postępywania.

W §. 74-tym w ustępie 2-gim należałoby stosownie do proponowanych zmian §. 67-go opuścić końcowe zdanie od słowa „względnie czy", aż do słowa „było możliwe".

Dla §. 75-go proponuje się następującą osnowę: „Rzeczoznawcy powinni natychmiast orzec o wysokości szkody, wyrządzonej przez polowanie lub zwierzynę, po czem władza polityczna, po jeszcze jednem usiłowaniu przeprowadzenie ugody dobrowolnej, rozstrzygnie i wyda decyzyę co do kwoty wynadgrodzenia za wyrządzoną szkodę.

Uzasadnienie. Przyjęte w projekcie zasadniczo dwukrotne sprawdzanie wyrządzonej na ziemiopłodach szkody, t. j. raz w celu skonstatowania. czyli szkoda wyrządzoną została przez zwierzynę lub też przez wykonywanie polowania, drugą razą zaś dla wypośrodkowania szkody w czasie żniwa, spowodowałoby z jednej strony nie pozostające w żadnym stosunku podwyższenie kosztów postępowania, a z drugiej strony znaczne obarczenie powiatowych władz politycznych załatwianiem podobnych spraw komisyjnych.

Stosunkowo niska wartość krajowych ziemiopłodów nie dozwala dopuszczać, by ewentualny błąd oszacowania szkody w czasie jej wyrządzenia mógł być tak znacznym, aby oszacowanie wartości przed żniwem było wręcz niemożebnem. Zresztą poszkodowani, należący przeważnie do stanu włościańskiego, zadowolnią się raczej mniejszem ale natychmiastowem wynagrodzeniem, a właścicielowi polowania pożądanem być musi również bezzwłoczne i stanowcze załatwienie sprawy spornej, gdyż kilkutygodniowa a nawet kilkumiesięczna zwłoka w decyzyi podsycałaby tylko i zaostrzała wrogie usposobienie poszkodowanego.

§. 76-ty zgodnie z proponowaną zmianą osnowy §. 75-go powinienby opiewać jak następuje: „Tylko w wypadkach, w których pewne i dokładne oznaczenie wartości wyrządzonej szkody natychmiast nie jest możliwe, i na żądanie poszkodowanego celem dokładnego oszacowania" i t. d. jak w projekcie.

§. 78-my wypadałoby uzupełnić następującym jeszcze dodatkiem: „W wypadkach zaś, w których rozchodzi się o pretensye odszkodowania do dziedzica, będącego zarazem uprawnionym do polowania, i jeżeli pretensye te kwotę 5 złr. przewyższają, winna odnośne dochodzenia przeprowadzić władza polityczna".

Dla ustępu 2-go §. 79-go proponuje się następującą osnowę: „Względem zwrotu kosztów postępywania mają moc obowiązującą następujące postanowienia:

a) W razie, jeżeli uprawniony do polowania nie postawił żadnego wniosku dobrowolnej ugody (1, 2, 3, jak w projekcie).

b) W razie, jeżeli uprawniony do polowania postawił wniosek na dobrowolną ugodę.

1) Uprawniony do polowania winien poszkodowanemu właścicielowi gruntu zwrócić koszta, jakie celem uzasadnienia jego pretensyi potrzebne się okazały, tylko wtedy, jeżeli powodowi przyznaną została równa lub większa kwota odszkodowania niż ta, którą uprawniony do polowania ofiarował mu przy pierwszem usiłowaniu dobrowolnej ugody.

2) Skarżący winien uprawnionemu do polowania zwrócić koszta potrzebne celem obrony wtenczas tylko, jeżeli skarżącemu nie przyznano żadnego odszkodowania.

3) Zwrot kosztów zastępstwa nie ma miejsca".

Punkt 4-ty i 5-ty projektu odpadłby wtedy zupełnie.

Uzasadnienie. Takimi postanowieniami uproszczone będzie znacznie i według zasad sprawiedliwych rozstrzygnięcie kwestyi zwrotu kosztów, gdyż takowy nałożonym być powinien zawsze stronie tej, która odciąganiem się od słusznej ugody spowodowała te koszta.

Preferowanie poszkodowanego właściciela gruntu w kierunku tym, iż w razie przyznania mu takiego odszkodowania, jakie uprawniony do polowania dobrowolnie mu ofiarował, zwrócone mu mają być również koszta postępywania, tudzież, iż uprawnionemu do polowania zwrócić ma koszta obrony w tym razie tylko, jeżeli mu żadnego odszkodowania nie przyznano — pożądane jest w naszym kraju z tego powodu, że ludność wiejska nie jest zazwyczaj w stanie ocenić doznaną szkodę według rzeczywistej jej wartości, a tej to okoliczności, ale nie złej woli przypisywać przeważnie należy, jeżeli się odciąga od dobrowolnej ugody. Uprawniony do polowania nie ponosi zresztą tak znacznych kosztów dla swej obrony, jak właściciel gruntu celem uzasadnienia mniemanych pretensyi do odszkodowania.

W §. 86-tym, między pierwszym a drugim ustępem tego paragrafu, należałoby dodać następujący jeszcze dodatek: „Mianowicie karane być winno przez władzę polityczną:

„1. Niszczenie i wybieranie gniazd, niszczenie i wybieranie jaj, jakoteż chwytanie zwierzyny łownej żelazkami, pułapkami lub innymi przyrządami".

„2) Nieprawne ubijanie i przywłaszczanie sobie zwierzyny łownej, jeżeli zwykła miejscowa wartość takowej nie przekracza kwoty 5 złr.".

„3) Jeżdżenie łódkami lub innymi przyrządami po cudzych wodach w celu ubijania zwierzyny".

Uzasadnienie. Rozwlekłe postępowanie sądowe powoduje zwykle spóźnienie wyroku, a nadto nie uwzględnia się przy takowem szkody, jaką szkodnik wyrządza całej tak ważnej gałęzi kultury krajowej.

Kilka słów o nowej ustawie łowieckiej dla Galicyi.

(Na podstawie obrad komisyi, z Towarzystwa myśl. im. św. Huberta wybranej.)

Gdy w roku ubiegłym przysłało Namiestnictwo Wydziałowi Towarzystwa myśliwskiego im. Huberta we Lwowie tekst projektu nowej ustawy łowieckiej, wybrał Wydział Towarzystwa ze swego grona komisyę, w skład której weszli dr. Zygmunt Rieger, p. Fortunat Stroński i podpisany sekretarz Towarzystwa. Komisya, w której brał również udział dbały o wszelkie sprawy łowiectwa prezes Tow., p. B. Komorowski, odbyła kilka posiedzeń, na których poddała projekt nowej ustawy ścisłej krytyce, i poczyniła zmiany, które, jak żądano, w języku niemieckim wraz z motywami przesłał Wydział Towarzystwa w formie memoryału c. k. Namiestnictwu.

Przytoczę jedynie te zmiany, ufając, że Szan. czytelnicy „Łowca“ tekst ustawy dokładnie znają, a przytoczę je w przekładzie wraz z motywami, które je spowodowały.

W drugim paragrafie ustawy wykreślono z szeregu zwierzęt łownych: *kozicę i świstaka*, ponieważ jest osobna ustawa, która tę zwierzynę ochrania. Skutki ochrony nie są tak świetne, by można zezwolić już na wystrzeliwanie, choćby prawidłowe, kozic i świstaków, które są ozdobą gór naszych, a i tak wiele cierpią od skryto-strzelców.

Natomiast dodano *szpaki*, które w miejscach niektórych naszego kraju pojawiają się stadami i są smaczną potrawą. Pod tym względem można zmienić ustawę i zezwolić na strzelanie szpaka. Oprócz tego wykreślono specyficzne nazwy ptaków błotnych i wodnych, których wszystkich gatunków nawet nauki przyrodnicze nie zdołają dokładnie wyliczyć, wyliczanie zaś niektórych, z pominięciem innych, nie zdaje się być stósownem. Zresztą wyrażenie ogólne „rodzaje bekasów“ i „kurki wodne“, jest dla wszystkich dostatecznie zrozumiałem.

W paragrafie piątym przekreślono słowa *„dalej takich gruntów“*, aby nie mieli precedensu właściciele ogrodzonych sadów, pól, ogrodów do strzelania cisnącej się tam zwierzyny. Wszak w zimie znachodzi się zając i kuropatwa w ogrodzonych miejscach koło chałup włościańskich. Gdyby powyższe wyrazy w tekście pozostały, to każdy miałby prawo taką zwierzynę ubić i sobie przywłaszczyć.

Dodano natomiast na końcu ustępu 2-go tego paragrafu: *„który do wykonywania prawa polowania jest upoważnionym“* dlatego, ponieważ dotychczasowa praktyka wykazywała, że niejednokrotnie kłusownik, który ani paszportu na broń, ani prawa osobistego nie posiadał, otrzymawszy drogą spadku, lub kupna zwyż 115 hektarów, polował na nim bez względu na ustawy obowiązujące.

W paragrafie 19-tym wypuszczono słowa; *„w jednej z najbardziej w powiecie rozpowszechnionych gazet“*. Nowość ta narażałaby tylko gminy wydzierżawiające prawo polowania na niepotrzebne koszta i mogłoby się wydarzyć, że tenuta dzierżawna za polowanie przyniosłaby gminie n. p. 2 zł. 10 ct., a koszta insercyjne wyniosłyby 5 zł. a. w. Natomiast dodano z ustawy dotąd obowiązującej słowa: *„w sposób w miejscu praktykowany“*.

W paragrafie 32-gim wykreślono słowa: *„w ilości przez władzę powiatową oznaczyć się mającej“*, a to z powodu wątpliwości, czy nie zdarzałyby się nadużycia ze strony uprzedzonych, lub źle poinformowanych pp. naczelników powiatów. Natomiast uważano za konieczne postawić normę jakąś w cyfrze hektarów, która na jednego dozorcę ma przypaść, po wliczeniu miejscowego dozoru, i dlatego wstawiono słowa: *„jednak tak, ażeby wraz z leśnym i polowym personalem na 575 hektarów lasu lub 1.150 hektarów pól, jeden dozorca wypadał“*. Jeżeli ten ustęp w ustawie znajdzie miejsce, staną się niemożliwymi ewentualne szykany.

W paragrafie 34-tym dodano słowa *„w razie zezwolenia właściciela polowania“*, ponieważ jedynie właściciel polowania winien mieć tu ingerencyę, czy uzbroić w broń palną swego dozorcę, czy nie. Niejednokrotnie najlepszy dozorca, gdy dostanie do ręki strzelbę, nie oprze się pokusie, lecz kłusuje gorzej kłusownika.

W §. 39. dodano słowa przy końcu pierwszego ustępu: *„na hodowle zwierzyny łownej (Jagdkultur)*. Przy końcu zaś drugiego ustępu dodano: *„Członkowie wszystkich, opartych na zatwierdzonych przez władze statutach, Towarzystw myśliwskich, których karty legitymacyjne mają służyć jako karty polowania (Jagdkarten). Powyższe Towarzystwa winne są jednak uiszczać do funduszu krajowego ryczałt, który ma wynosić 50% kwoty. należnej za karty polowania od wszystkich członków“*. A to z następujących powodów: Zaprzeczyć się nie da, że Towarzystwa myśliwskie są dla łowiectwa nader pożyteczne. Jako złożone z większej liczby członków, którzy płacą wysokie wkładki, mogą więcej forsować w ciężkich zimach na karmę zwierzyny, na utrzymanie stosownego dozoru itd. Nadto, posiadając zatwierdzone przez władzę statuty, mogą Towarzystwa myśliwskie w razie przekroczenia którego przepisu przez członków, pociągać go za to do odpowiedzialności i stosownie karać. Dowodem, że Towarzystwa myśl. racyonalnie dziś pojmują i spełniają swe zadanie, jest ta okoliczność, że knieja pusta, wynajęta przez Towarzystwo, po kilku latach obfituje w zwierzynę. Zresztą w krajach, gdzie polowanie jest gałęzią dochodów krajowych, polowania trzymają Towarzystwa myśliwskie, z wyjątkiem rewirów, należących do właścicieli wielkich obszarów. Dodane słowa: *na hodowle zwierzyny łownej (Jagdkultur)“* świadczą o chęci, by pieniądze składane przez myśliwych obracano na cele łowiectwa — więc na premie za wybijanie drapieżników, na karmę w zaniedbanych, przez nikogo nie dzierżawionych rewirach etc.

Do §. 46. dodano słowa: *„aż do 100 metrów“* dla jasności i lepszego zrozumienia praw dzierżawców polowania, jakoteż właścicielów chat, etc. na terenach polowania.

Do §. 49. dodano: *„z wyjątkiem dzika“* tak, że pierwszy ustęp tego §. brzmi: *„Niedźwiedzie, wilki, rysie, żbiki, jakoteż dziki po za zwierzyńcem wolno każdemu gdziekolwiek bądź chwytać, zabijać i z wyjątkiem dzika dla siebie zabrać“*. Dodatek ten uczyniliśmy głównie ze względu na właścicielów większych w kraju polowań i na większe Towarzystwa myśliwskie. Gdyby utrzymało się zezwolenie strzelania do dzika gdziekolwiek i zabierania go, włościanie urządzaliby na swych gruntach pod większymi lasami formalne zasiadki i opłacałoby im się to. Racyonalniej zdawało nam się dodać po ustępie 1. tego §.: *„Ubity dzik ma być za wynagrodzeniem szkody i strzałowego właścicielowi prawa polowania zwróconym“*. Zmusi to strzelających do dzików udowodnić, czy rzeczywiście robiły im szkody, a zabicie tego zwierza będzie się przedstawiało mniej ponętnem. Zresztą łączenie dzika z niedźwiedziem, wilkiem i rysiem jest niewła-

ściwe, bo te ostatnie są przecież drapieżcy, a dzik tylko szkodnik. W ustawie winna być pod tym względem zachowana dystynkcya.

W ustępie 3. tego §. dodano słowa: *lisy i kuny leśne* (tumaki). Co do tych ostatnich, to jakże poradziliby sobie ludzie blisko tam mieszkający, gdyby od tego drapieżcy cierpieli szkody w inwentarzu, a gdyby go zabijać i łapać nie było wolno. Dodanie kuny nie wywoła opozycyi. Natomiast lis, oto stworzenie, które dotychczas używało skutków frazesu „*względna ochrona*“ zupełnie niezasłużenie. Popatrzmy na inne kraje monarchii, np. Czechy, Niższą Austryę itp., jaki tam zwierzostan pożyteczny, a to dlatego, że tam zerwano dawno z tradycyą „względnej ochrony lisa“ i wypowiedziano mu wojnę na śmierć — a wyrazem tej wojny są obowiązujące przepisy łowieckie. Wprawdzie zaprzeczyć się nie da, że dla urozmaicenia polowania strzał do tego żółtego rabusia kniei naszych stanowi wielką przyjemność, ale nie trzeba zapominać, że lis nigdy nie wyginie, że tam, gdzie pożyteczna zwierzyna się trzyma, lis zawsze się znajdzie — dla polowania. Dowodem na to niektóre knieje u nas, gdzie dla braku innej zwierzyny lis ani się nie gnieździ, ani nie przebywa. Pominięcie lisa między drapieżcami mniejszego kalibru byłoby przy układaniu nowej ustawy błędem nie do darowania, błędem wbrew wszelkim zasadom łowiectwa racyonalnego, które u nas, gdzie wiele jeszcze szumi wspaniałych kniej, powinno stanowić raz już źródło dochodu a nie sport, jakiego biedna Galicya pozwalać sobie tak bardzo nie może.

W §. 54. dodano słowa: „*w porozumieniu z Wydziałem powiatowym*“, ażeby władzy autonomicznej powiatowej, złożonej z obywatelów powiatu, zatem znawców zwykle łowiectwa, dać głos w tej ważnej sprawie. Prócz tego dodano: „*odstrzeliwać wolno tylko na podchodnego (Pürsch)*; uniknie się w ten sposób wstrętnych „kozich polowań“. Przy końcu §. zamiast „*dwóch lat*“ „*jeden rok*“, by zapobiec ewentualnym nadużyciom, być może osobistym.

W §. 55. dodano słowa: „*w porozumieniu z Wydziałem powiatowym*“.

W §. 56. w pierwszym ustępie dodano: „*w porozumieniu z Wydziałem powiatowym*“. Dodano nadto cały ustęp 2. i 3. jak następuje: „*Jeżeli w takim powiecie znajduje się Towarzystwo myśliwskie, na publicznych stutatach oparte, to do komisyi znawców, przy zastanawianiu polowania, ma być wezwanym jeden z członków tego Towarzystwa*“.

„*Jeżeli zastanowienie prawa polowania przeciągnie się po za okres dzierżawny, przysługuje dzierżawcy prawo pierwszeństwa przy wydzierżawianiu na dalszy okres i to na tak długo, jak długo prawo polowania było zastanowionem*“.

Ustępy te zapobiegają możliwym nadużyciom. Naprzykład Towarzystwo myśliwskie wydzierżawia pustą knieję na lat 6., nie poluje 3 lata, opłaca czynsz, dozór etc. w nadziei, że przez dalsze 3 lata będzie korzystać, tymczasem starostwo i Wydział powiatowy, dla jakichś względów, zabrania polować na dalsze 3 lata, bo przypuśćmy nie ma dostatecznej, wedle zdania tych władz, ilości sarn. W interesie słuszności dwa dodane ustępy winny być przyjęte do ustawy.

§. 58. cały dodany brzmi: „*Nadzór i wykonywanie przepisów §. 57. powierza się w większych miastach organom targowym i akcyzowym, w gminach zaś mniejszych c. k. żandarmeryi. Powyżsi funkcyonaryusze są upoważnieni i zobowiązani odwiedzać handle zwierzyny i restauracye, konfiskować znalezioną w handlach ubitą bezprawnie zwierzynę i pociągać do odpowiedzialności restauratorów, którzy po 14 dniach od dnia ochrony, ochranianą zwierzynę gościom podają. W tym względzie jako dowód służyć ma spis potraw*“.

Nie potrzeba dowodzić, że cała, nawet idealna ustawa chybia celu, gdy nie normuje dozoru i gdy w niej brak egzekutywy. Tak było z dotychczasową ustawą. Należy przeto wyraźnie powiedzieć, jakie organa mają pilnować, by obowiązujące przepisy nie były ignorowane, a nie pozostawiać tego domysłom.

W paragrafie 61-szym dodano w całości: „*Każda zwierzyna, przesłana na targ lub w podarunku, winna być zaopatrzona w plombę, która w uchu zwierzęcia. lub w dzióbio ptaka ma być przymocowana.*

Zwierzyna bez plomby nie zostanie przypuszczoną na targi i jako podejrzana skonfiskowaną

C. k. żandarmerya, tudzież organa targowe i akcyzowe są uprawnione, każdą na targu i w sprzedaży będącą zwierzynę opatrywać i w razie braku plomby konfiskować.

Plomby, które ma przechowywać każde starostwo powiatowe, winni właściciele i dzierżawcy prawa polowania nabywać za oznaczoną cenę kosztów.

Wyjęci od powyższych przepisów są posiadacze kart myśliwskich. (§. 39.)

Paragraf ten unormuje dowóz i sprzedaż zwierzyny, do miast na targi wprowadzanej.

Dotychczasowa praktyka wykazała bowiem, że brak norm w tym względzie i dozoru, nie wyplenił kłusownictwa, jeno go uprawnił i uregulował.

Osoba, która do c. k. starostwa po plomby zgłaszać się będzie, wylegitymować się będzie musiała, skąd zwierzynę bierze i wątpić należy, czy kłusownik odważyłby się zażądać plomby dla kradzionej zwierzyny. Myśl rzucona w tym paragrafie jest nader ważną; idzie o to, by w ustawie była poruszoną, w jakiej zaś formie, o to nam wcale nie idzie.

W paragrafie 83-cim po słowie „politycznym“ dodano „*i autonomicznym*“.

Oto zmiany, które po głębokim namyśle ankieta, na początku niniejszego sprawozdania wymieniona, poczyniła. Że w niektórych musieliśmy salwować dobro towarzystw myśliwskich, rzecz łatwa do wytłumaczenia, wszelakoż każdy nieuprzedzony przyzna, że w poprawkach naszych mało uwzględniona *domus sua*, a więcej *res publica*.

L. G. Dziubiński.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń w sierpniu.

(Z Wystawy łowieckiej.)

Czasowe wystawy żywych produktów poprawiły nieco reputacyę Galicyi na obecnej rolniczo-leśnej wystawie. Pomimo, iż posucha zeszłoroczna spowodowała w całym kraju znaczny ubytek bydła rogatego, hodowcy nasi nie dali się zawstydzić i wystąpili z takimi krowami i wołami roboczymi, że odnieśli pierwsze nagrody.

Ta okoliczność i czas feryj szkolnych sprawiły, że więcej rodaków zwiedza w ostatnich czasach wystawę, a

miłośnicy łowiectwa nie poprzestają jedynie na tem, ażeby „buszować“ tę i ową „kosthallę“ lub „tropić“ zgrabne Wiedenki. zajmujące się narzucaniem losów wystawowych, lecz przyglądają się także pilnie bogatym okazom z zakresu nimrodowego rzemiosła.

Opisując Wam w ostatnim liście pawilon historyi łowiectwa, poprzestałem prawie wyłącznie na opisywaniu broni; muszę więc jeszcze wrócić do niego i poświęcić choćby słów kilka innym okazom, mającym znaczenie dla historyi łowiectwa.

Uderza tu przedewszystkiem album myśliwskie księcia Sasko-Koburskiego, Jana Kaźmierza, pochodzące z początków XVII wieku, malowane przez Wolfa Birknera, a wystawione w 21 wiernie z oryginału odfotografowanych kartonach. Strona artystyczna scen myśliwskich pozostawia wiele do życzenia, chociaż widocznie portretowanymi są główni uczestnicy łowów — lecz zato bardzo pouczającym i przejrzystym jest cały układ łowów i sposób prowadzenia ich. Zażycie psów gończych i tropowców na linewkach, zastosowanie i rozstawianie sieci przy łowach na grubą zwierzynę, użycie nagonki, postępowanie z ubitą zwierzyną, karmienie psów, rozstawianie strzelców i t. p., wszystko to jest z wzorową prostotą w kartonach przedstawione.

Ściany pawilonu obwieszone są przedmiotami sztuki, ciekawymi dla łowca i przyrodnika. Są tu kafle majolikowe jakiegoś domowego przemysłu niemieckiego z ciekawą sceną polowania na jelenie z w. XVIII., oraz obrazy olejne, pochodzące ze zbiorów domu cesarskiego i ks. Henryka Liechtensteina z Lundenburga, przedstawiające różnoraką zwierzynę, sceny myśliwskie albo dziwaczne bastardy, odmiany i okazy nieznanych ptaków przelotnych z dokładnem podaniem gdzie i przez kogo były ubite, jak n. p. dziwacznie ukształcone kaczki lub ptaki drapieżne, białą wronę, ubitą 12 września 1757 w Rampersdorfie — obraz, przedstawiający sceny z polowania i rybołostwa z w. XVI. w obecności cesarza Maksymiliana I. — obrazy myśliwskie Hammiltona z pierwszej połowy z. wieku i t. p.

Do przedmiotów tego rodzaju należy także podobizna scen myśliwskich, zdjęta z kobierca z Bayeux, tkanego przez królowę Matyldę, żonę Wilhelmy Zdobywcy, a wydana w zwoju kolorowanych fotografij przez „Arundel Society“ w r. 1874. Sceny te dają obraz myśliwstwa z końca XI. wieku, między innymi n. p. pysznie oddane sfory psów. Z Louandre'a *Les arts somptuaires* przedłożono tablice, przedstawiające polowanie z sokołami wedle francuskich i flamandzkich rękopisów z 12, 13 i 14 stulecia. Ze zbioru wydanego przez Pawła Lacroix dano kopię miniatur z manuskryptu Gastona Phoebus, oddających przedziwnie sceny myśliwskie z w. XV. Hr. Wilczek wystawił rękopis niemiecki z rysunkami myśliwskimi z r. 1579. Są tu wreszcie książki z drzeworytami Josta Ammana z XVI wieku, przedstawiającymi łowy na jelenie, gemzy i t. p., dalej rysunki Wirgila Solis z XVI. i F. Barlowa z XVII. wieku, dzieła Karola Aubry, Henryka Döbla, Jana Täntzera, J. F. Flemminga i inne z zeszłego wieku.

Osobne dwa tomy mieszczą w sobie okazy wszystkich w Europie wydawanych czasopism myśliwskich, a nowsze okazy literatury myśliwskiej, prawie wyłącznie niemieckiej, dość ubogiej a przeważnie z pism Raula Dąbrowskiego złożonej, zawarto w oddzielnej gablotce.

Tymi szczegółami uważałem za konieczne uzupełnić Wam opis pawilonu historycznego, a teraz pozwólcie, ażebym Was jeszcze do pawilonu Szwecyi zaprowadził.

Naczelne miejsce zarezerwowano tu wystawie królewskiego klubu myśliwskiego w Stokholmie i ona też wywiera na widzu największe wrażenie.

Na tle pięknego i wybornie oświetlonego obrazu gór, śniegów i lodowców skandynawskich, jakby w olbrzymiej jaskini, otoczonej skalistymi ścianami, rozmieszczono tu najważniejsze zwierzęta łowne Szwecyi i Norwegii, ssaki i ptaki, pożyteczne i drapieżne. Są tu więc głowy i rosochy olbrzymich łosiów i renów, jeden szczególnie piękny i przedziwnie ukształtowany wieniec rena — niedźwiedź brunatny wcale poważnych rozmiarów i wilk niezwykle duży — ptactwo północne drapieżne i błotne — a wreszcie r o s o m a k *(Gulo borealis)*. W otoczeniu zebrano nadzwyczaj ciekawą kolekcyę broni. używanej przez lud skandynawski do łowów, tak myśliwskich jak rybackich, oszczepy, siecie, harpuny, wędy, narty czyli sletery do chodzenia po głębokim śniegu i t. p.

Co do innych rozrzuconych przedmiotów nadmienić jeszcze muszę, iż w pawilonie księcia Jana Liechtensteina wystawiło leśnictwo z Eisgrub na Morawie praktyczne żłobki do żywienia sarn, jużto wolno stojące, dostępne z obu stron, jużto okrągłe, do umieszczania na około drzewa, wreszcie budki dla bażantów i pułapki na drapieżce. W pawilonie kraińskim zaś, podało towarzystwo gospodarskie z Lublany szczegóły, tyczące się łowu pilchów *(Myoxus glis)* i użytkowania z ich skórek.

Osobną grupą w łowieckim dziale wystawy jest przemysł, zastosowany do myśliwstwa. Nie jest on obficie zastąpiony, choć niektóre gablotki i przedmioty zasługują na bliższą uwagę.

Taką gablotką jest szafka fabrykanta Antoniego Wallnöfera z Celowca (Klagenfurt) w Karyntyi, posiadającego t. z. „Rohrhammer und Egalisirwerke“. Jest tu na okazach materjału i wyrobu przedstawiony cały proceder fabrykacyi luf dziwerowanych, czyli t. z. damasceńskich zapomocą kucia i szwejsowania na zimno. W różnych odmianach rysunku wielce rozmaitego, przedstawiają się te dziwery wybornie, a stosowane są do różnych systemów, do chokeborów, do riflów, do sztućców, dubeltówek i drilingów. Kute na zimno, cenione są od 32 do 45 zł. za dwururkę, inne od 8 do 20 zł., drylingowe z dwoma lufkami do śrótu, a jedną do kuli, od 20 do 31 za garnitur.

Przepięknie prezentuje się broń gotowa, wystawiona przez rusznikarza wiedeńskiego Antoniego Mulacza (Wiedeń Alserstrasse 38). Są tam sztućce, dubeltówki, broń pokojowa, pistolety i rewolwery. Piękność broni najwytworniejszej stanowi dziś niepokalana czystość w liniach oprawy i zamków, wogóle rysunek całości. Ozdób wszelkich i niepotrzebnych dodatków unika się starannie; łoże gładkie a zgrabne, lufy i zamki zapuszczane na czarno, rzadko kiedy drobna jakaś linijka złota lub srebrna.

Bardzo dobrze prezentują się, obok wyrobów pierwszorzędnych fabryk, dwie dubeltówki, wystawione przez p. Alfreda D z i k o w s k i e g o ze Lwowa. Czarne one również i bez wszelkich ozdób, ale uznano w nich szlachetność linij obok wielkiej precyzyi wykonania i odznaczono je, jak słyszę. srebrnym medalem.

Z pomiędzy innych przyborów łowieckich wspomnieć wypada o kostiumach myśliwskich, w których oczywiście „loden“ tyrolski, karyncki i styryjski trzyma prym, oraz tyrolskie płótno nieprzemakalne. Wyroby takie o cenach wcale umiarkowanych, (bo po 9 zł. 50 ct. za płaszcz z nieprzemakalnego lodenu, a po 18 zł. za „hawelok“ z lodenu wielbłądziego), wystawił F. Turczyński z Wiednia (Woll-

zeile 17). Kapelusze, manierki, torby, patrontasze myśliwskie, rozmaite obuwie dla myśliwych (Franz Scheidl, Wallfischgasse 5) i t. d. uzupełniają ten rynsztunek myśliwca tegoczesnego.

Fabryka mebli F. Schönthalera i Synów w Weyer w Górnej Austryi, dała na wystawę przenośny, zupełnie drewniany i w całości do rozkładania dom mieszkalny dla myśliwych, przydatny szczególniej na kilkodniowe wyprawy myśliwskie w góry, gdzie to na przyjazd i odjazd do najbliższych siół zbyt wiele czasu się traci. Dom ten tak jest urządzony, że nie wymaga żadnego podmurowania, a nie ma ani jednej tak wielkiej sztuki drewna, ażeby jej dwóch ludzi nie zdołało udźwignąć. Dom na wystawę przysłany, może w sobie pomieścić 2 lub 3 myśliwych, 3 do 4 służby i składa się z izby mieszkalnej, sionki i kuchenki.

Powtarzam, że grupa przemysłu, zastósowanego do łowiectwa, i w ogóle wszelkich przyborów myśliwskich nowoczesnych, jest dość słabo zastąpiona.

Toż samo i rybactwo wypadło nadzwyczaj słabo i nie daje wcale wyobrażenia o tych, rzeczywiście wzmagających się usiłowaniach do zarybiania wód i uregulowania gospodarki rybackiej, które w ostatnich latach w Austryi podjęto. Szczególniej kolekcye żywych egzemplarzy, tak co do ilości jak i gatunków ryb, są wcale ubogie.

Towarzystwa rybackie: morawskie, krainskie, dolnoaustryackie i górno-austryackie przedstawiły karty hydrograficzne i daty co do gatunków i stopnia zarybienia swych wód, plany sztucznych stawków i pstrągarni (morawskie), wylęgalni ryb w Kirchbergu i Schwarcenbachu (dolna Austrya), szkielety ryb, należących do fauny austryackiej, preparaty szkodników rybiego gospodarstwa i t. p. Między wystawcami spotykamy się także z nazwiskiem głośnego naszego hudowcy ryb, bar. Aleksandra Gostkowskiego, który wszakże ograniczył się tym razem jedynie do preparatów ryb w spirytusie, modeli niektórych przyrządów rybołowskich i planu gospodarstwa rybnego w Tomicach.

Towarzystwo dla rybołowstwa morskiego z Tryestu zapełniło samo dużą salę, lecz okazy to zbyt szkolne, nieszczególnej świeżości, a we włoskim pawilonie podano tylko bardzo smacznie wyglądające... konserwy z ryb.

Krajowego Towarzystwa rybackiego z Krakowa nie znaleźliśmy wcale. A szkoda... Na ostatniej wystawie krakowskiej, ś. p. Artur Potocki, bar. Gostkowski, krak. Towarzystwo rybackie i muzeum Dzieduszyckich dało było pod względem rybackim o wiele żywszą, instruktywniejszą i piękniejszą całość, niż to, co dziś na wystawie wiedeńskiej spotykamy. Wystawa kasselska z roku zeszłego była także pod względem rybackim o wiele okazalszą, zwłaszcza co do kompletu okazów żywych, a były tam nawet dwie karty rybackie dr. Nowickiego z Krakowa, których w Wiedniu nadaremnieśmy szukali, w dziale zaś przyborów rybołowskich i urządzeń do sztucznej hudowli ryb, zgromadziła była wystawa kasselska bez porównania więcej okazów i systematyczniej je przedstawiła. Dość powiedzieć, że gdy katalog całej grupy rybackiej w Wiedniu 25 numerów liczy, katalog kasselski liczył ich 73.

Zbierając myślą w całość wszystkie szczegóły bogatej niewątpliwie wystawy łowieckiej tutejszej, nasuwa się przecież uwaga, że o ile jest ona wspaniałą co do historyi myśliwstwa, brak jej przecież równie ciekawego, a może ciekawszego i bardziej kombinacyjny zmysł myśliwca podniecającego działu etnograficznego. Odnoszę to szczególniej do sposobów i przyborów myśliwskich. Bo gdybyśmy obok dzisiejszego, nowożytnego myśliwstwa europejskiego i wspaniałego obrazu przeszłości łowieckiej, także przeważnie w Europie, mogli spojrzeć na to wszystko, co umysł ludzki stworzył w tym kierunku w innych częściach ziemi w chęci łowienia innych gatunków zwierząt — gdybyśmy nadto mieli przed sobą systematyczne zbiory tych różnych narzędzi i fortelów łowieckich, których lud prosty w praktyce kłusowniczej do łowienia zwierząt używa — mielibyśmy dopiero wtedy co się zowie pełny i pouczający obraz łowiectwa jako jednej wielkiej gałęzi życia i gospodarstwa ludzkiego. Brak ten uderza na wystawie tutejszej; miejmy nadzieję, że najbliższa wystawa łowiecka zdoła się wznieść na to wyższe i ogólniejsze stanowisko.

St.

Kolbuszowa d. 2. sierpnia.

(Heroizm kuropatwy.)

Nim przystąpię do opisania wydarzenia, jakie po raz pierwszy w życiu widziałem, muszę naprzód wyznać szczerze i otwarcie, że nie byłem nigdy stałym zwolennikiem twierdzenia, że: „człowiek do śmierci uczyć się powinien i pomimo tego, jeszcze nie będzie miał nigdy doświadczenia za dużo“. Jednak o prawdziwości tej maksymy przekonałem się jak najgruntowniej dopiero niedawno — wprawdzie już ku wieczorowi mojego życia, ale, dzięki Opatrzności, zawsze jeszcze nie zapóźno, gdyż pozostało mi jeszcze dość czasu do pozbycia się przed śmiercią zarozumiałości w tym względzie. Mając bowiem w niektórych kierunkach sporą dozę doświadczenia łowieckiego, byłem, muszę wyznać, nieco zarozumiały, bo mi się zdawało, że na polu myśliwstwa już nic takiego wydarzyć mi się nie może, czegobym, jeżeli nie kilkakrotnie, to przynajmniej jeden raz w życiu już przedtem nie widział. Tymczasem pokazało się, że przypuszczenie moje w tym względzie było całkiem mylne, ponieważ wydarzyło mi się w dniu 27 lipca b. r., przecież coś takiego, czego poprzednio nigdy nie widziałem, pomimo, że wyżej przytoczone przypuszczenie moje opierałem na 20-kilkoletniem doświadczeniu.

Widziałem już i ubiłem kszyka o jednej nodze, dziką kaczkę o jednem oku, kuropatwę ze złamanem i zrośniętem skrzydłem, tak, iż biedaczka jedynie tylko piechotą przed grożącem jej niebezpieczeństwem uchodzić była w możności. Widziałem, jak przepiórka, po chybionym strzale moim, zapadała w oddaleniu 15 kroków i wabiła śmiało z podniesioną główką młode przepiórczęta, które na ścierni pomiędzy mną a wyżłem pozostały. Nawet postępowanie wyżła za nią nie mogło ją zmusić do lotu i zdziałało ledwie tyle, że tylko po kilka kroków piechotą się usuwała przed psem za nią postępującym. Rozumie się, że zobaczywszy rozłażące się po ścierni młode przepiórczaki, odwołałem natychmiast wyżła i pozostawiłem ją w spokoju.

Wszystko to jednak, na pierwszy rzut oka, potrafiłem sobie bardzo łatwo wytłumaczyć, a mianowicie, że: kszyk, kaczka i kuropatwa były przed kilkoma tygodniami (może nawet przeze mnie) zbarczone, a następnie padły ofiarą celniejszego strzału, tudzież, że przepiórka tak, jak swojska kura, nawet pod grozą utraty własnego życia, młodych przepiórczaków opuścić nie chciała.

Ostatniego zdarzenia jednak nie mogłem sobie, na razie przynajmniej, żadną miarą wytłumaczyć. A było to tak:

W dniu 27 lipca b. r. wyszedłem na przechadzkę w pole i zabrałem ze sobą, jak zwyczajnie, wyżła, którego puszczam zwykle wolno, aby się przebiegał i nie mam naj-

mniejszej obawy, aby nie popełnił głupstwa, gdyż jest dosyć karnie ułożony.

Będąc zmęczony i owładnięty jakimś rodzajem apatyi, wlokłem laskę za sobą i kroczyłem prawie bezmyślnie połową drożyną naprzód. Od czasu do czasu tylko, rzucałem okiem na wyżła, aby się przekonać, czyli przypadkiem nie stanął do czego, ponieważ w takim wypadku jestem zawsze zmuszony podejść do psa i spędzić wystawioną zwierzynę, gdyż w przeciwnym razie, pies stałby, Bóg wie, jak długo. Wprawdzie jest to wada, albowiem psu dobrze tresowanemu, nawet podczas wystawiania zwierzyny, posłuszeństwa wypowiedzić i oporu okazać nie wolno. Lecz ponieważ wiek, 20-kilkuletnie trudy myśliwskie i różne przeciwności losu zrobiły mię już „wyteranym“, więc rad nie rad muszę już patrzeć przez palce na tego rodzaju psi upór.

Gdy więc, postępując tak wspomnioną drożyną, zbliżyłem się do wąskiej, lecz dość długiej smugi owsa, stojącego jeszcze na pniu, spostrzegłem, że pies, wlazłszy w owies, zaczął zaraz ściągać, i stanął wreszcie przy końcu tej smugi w pozycyi, markującej jasno, że przed jego nosem znajduje się jakaś zwierzyna. Ponieważ ta smuga owsa ciągnęła się wzdłuż drożyny, którą szedłem, więc postępowałem najspokojniej dalej, aż minąwszy psa, zająłem pozycyą na przeciw niego w miejscu, gdzie była już tylko ścierń ściętego żyta czy pszenicy, i nie czekając dłużej, wydałem psu rozkaz: pójdź dalej! Pies ani drgnął. Z tego nabrałem pewności, że ptak jakiś lub też zając tuż przed psem być musi. Podszedłszy więc bliżej, zacząłem laską odchylać dość gęste źdźbła owsa. W tej chwili zerwał się kogut kuropatwi najdalej o 5 kroków odemnie i zapadł o jakie 15 kroków również w owies, znajdujący się po drugiej stronie drożyny. W tem wszystkiem nie ma jeszcze nic nadzwyczajnego. Lecz na tem nie koniec. Widząc, że pies stoi ciągle nieruszając się ani krokiem z miejsca, zacząłem dalej laską po owsie przebierać i teraz dopiero nastąpiło zdarzenie, wobec którego stanąłym jak wryty, nie wiedząc, jak to wszystko wytłumaczyć sobie należy. Oto, po kilkorazowem muśnięciu laską po owsie, zerwała się starka tuż przedemną z takim wrzaskiem i piskiem, że, nie będąc na to przygotowanym, żachnąłem się z przestrachu i odskoczyłem wstecz. Kuropatwa ta, lecąc najwyżej łokieć ponad ziemią, padła zaraz kamieniem na drożynę, w oddaleniu około 10 kroków, a usiadłszy na ziemi tak, jakby nóg w cale nie miała, rozczepierzyła skrzydła i zaczęła piszczeć i cięgotać swym piskliwym głosem, tak, iż nie mogąc pojąć tego jej zachowania się, stanąłem i nie wiedziałem co począć. Dopiero po chwili wpadłem na domysł, że pewnie biedaczka została podczas żniwa kosą podcięta, i mając „zgrzebła“ mocno uszkodzone, z bolu tak żałośnie piszczy. Postąpiłem przeto ku niej i chciałem ją ręką podnieść z ziemi, ale w tym momencie właśnie zdziwienie moje przeszło już wszelkie granice, ponieważ kuropatwa, stanąwszy na nogi najzupełniej zdrowe, odbiegła kilka kroków dalej, a potem, rozpostarłszy skrzydła, na sposób jakto kwoka na widok psa lub kota czynić zwykła, zaczęła dalej kontynuować swoje przeraźliwe cięgotanie. Co za dyabeł? pomyślałem — i zacząłem już wątpić, czyli rzeczywiście kuropatwę widzę przed sobą. Wreszcie zacząłem rozumować. Jeżeli to kuropatwa, to musi przecież dać się złapać, lub też uciec przedemną, a jeżeli to jaki duch zaklęty, to... Ha! niechaj będzie już, co chce, pomyślałem, spróbuję ją odpędzić — i machając gęsto laską przed sobą, poszedłem odważnie do ataku. No! i zwyciężyłem, ponieważ kuropatwa zerwała się w sposób najzwyklejszy, odleciała o jakie 30 kroków i zapadła w ziemniaki, zawabiwszy potem jeszcze dwa razy: Cierp! cierp!

Ochłonąwszy nieco ze zdziwienia, zacząłem się zastanawiać, dlaczego mi pies przy tych zapasach z kuropatwą nie przybył na pomoc i teraz dopiero, oglądnąwszy się za nim, spostrzegłem go stojącego, jak gdyby był wmurowany, na tem samem miejscu. Będąc pewnym, że przed nosem psa jeszcze jakaś zwierzyna znajdować się musi, podszedłem ponownie do niego, i przebierając rękami kity owsiane, pochyliłem się i patrzyłem na ziemię. Przy tej sposobności spostrzegłem kilkoro młodych podlotków, które, spłoszone szelestem poruszanego przezemnie owsa, poczęły szybko uciekać. Dopiero teraz zrozumiałem, że kuropatwa, widząc ciągle psa w owsie, nie chciała młodych odstąpić. A kiedy w końcu została przezemnie do tego przynaglona, odleciała wprawdzie na kilka kroków, lecz swoim piskiem i trzepotaniem skrzydeł, starała się i mnie i psa odstraszyć. Gdy w końcu zdołałem już wytłumaczyć sobie tak niezwykłe zachowanie się kuropatwy, odwołałem natychmiast wyżła i oddaliłem się spiesznie, pozostawiając dalsze wychowanie dziatek tej troskliwej matce, broniącej swojej rodziny z heroizmem, może jeszcze dotąd niewidzianym.

Seweryn Kisielewski.

Wyżków (w Stryjskim Beskidzie) w sierpniu.

(Jeleń żywcem ujęty).

W dniu 1. lipca b. r. polowaliśmy w kniejach naszych. Gończaki, których mamy sześć — a na których dowodność, ręczę, że sam św. Hubert po brodzie by się głaskał — trafiły na jelenia. Ten swoim zwyczajem począł je wodzić po „szyłyskach“. Około trzech godzin było tego motłoszenia, lecz dowodne psy ani na chwilę z tropu zbić się nie dały. Naraz psy umilkły. Pewnie — myślę sobie — za górę przeszły. Począłem wspinać się na „werchy“ i usłyszałem je. Psy nie poszły w stronę gór, tylko przeciwnie, pod samą wieś Wyżków, i tam grają aż miło, co zaś dziwniejsze, że w miejscu. Oho, osadziły jelenia w miejscu — pomyślałem. Pędz co tchu — i w samej rzeczy, jeleń, oparty zadem o zakąt dwu ścian „klauzy“, przodem zawzięcie psom się opędzał. Kazałem sobie podać sznurów, wylazłem na wierzch „klauzy“, i zarzuciwszy sznur na wieniec jeleniowi, złapałem pysznego dziesiątaka. Dwunastu silnych chłopów zaledwo pokonało książęcia „Beskidów“, aż nareszcie odprowadzili go i umieścili w stajence. Jeleń trzy dni z rzędu nic jeść nie chciał, tylko tłukł sobą o ściany; zachodziła obawa, że się zabije, więc dobić go kazałem.

Dnia 5. b. m. i r. nie mniej szczególne mieliśmy zdarzenie. Niedźwiedź, rozbiwszy drzwi do owczarni Małanczuka, wójta z Wyżkowa, znajdujących się tam 60 sztuk wydusił w połowie, resztę zaś rozpędził po lesie, że się do tej pory nie odnalazły.

Hipolit Sozański,
leśniczy w dobrach JW. P. barona Popera.

KRONIKA.

Z Tow. myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie. Nowy, dwunasty rok swego istnienia, rozpoczęło Towarzystwo nasze pod dobrą wróżbą. Zarządzona, albo raczej zaimprowizowana wskutek zażaleń gospodarzy na szkody przez dziki i jelenie wyrządzane w ziemiopłodach, obława w lasach Smorzańskich (powiatu stryjskiego) dnia 16. b. m., uwieńczona została świetnym jak na dane warunki rezultatem, w miocie bowiem „Pid Horbom", ponad kolonią Felicienfal, padły dwa spore dziki, zaś w miocie „Bachońskie", powyżej samego miasteczka Smorza, piękny jeleń dwunastak. W miocie „Na Rubaniu" mieli myśliwi nasi przynajmniej emocyę możliwości spotkania się z mysiem, który jednak, zapewne gracz stary, w odległości około 100 kroków przed linią zmienił front i uszedł kul naszych ekspressów i t. d. flanką, niestety dla niewielkiej liczby myśliwych słabo osłoniętą. W ogólności obława odbyła się we wzorowym porządku, wspomniony zaś rezultat jej zawdzięczyć należy w pierwszym rzędzie energicznemu zarządzeniu c. k. Starostwa w Stryju co do udziału naganiaczy z gmin interesowanych (było ich około 70.), jak niemniej znakomitym dyspozycyom miejscowego rządcy dóbr i leśniczego p. Józefa Galińskiego, „niedźwiednika" najczystszej wody, który rozległe rewiry Smorzańskie z pewnością zna lepiej nawet niż własną kieszeń (daj mu Boże jak najpełniejszą!) Doświadczonemu temu, w najlepszym — że się tak wyrażę — stylu myśliwemu, zawdzięczamy nietylko niezapomniane chwile prawdziwych rozkoszy łowieckich, ale nadto tyle cennych rad i wskazówek w dziedzinie łowów górskich, iż nie wahamy się oświadczyć, że dziesięciotomowa encyklopedya myśliwska jakiegoś Oberforstratha nie nauczyłaby nas w tej mierze tego, co koleżeńska z nim przy herbacie wieczornej pogadanka. Dzięki mu serdeczne za trud, za opowieść o dziewiętnastu zabitych przez niego „w pojedynkę" niedźwiedziach, tudzież za prawdziwie staro-myśliwską dla drużyny w św. Hubercie gościnność!

Obławę w Smorzu zamierza Zarząd naszego Towarzystwa powtórzyć — ale na większą jeszcze skalę — we wrześniu, kiedy to właśnie w lasach nad Smorzanką i Oporem myś najchętniej szuka sobie dłuższej ostoi, nim zaskoczony ponową decyduje się wracać na gawry węgierskie, płacąc przytem zazwyczaj spore myto panu Józefowi...

Pod dobrą wróżbą rozpoczął się dla naszego Towarzystwa nowy sezon myśliwski także *in puncto* stosunków wewnętrznych. W liczbie kilkunastu przyjętych na listę członków Towarzystwa myśliwych, znajduje się spory zastęp znanych w kraju wyznawców św. Huberta, którzy, bez względu nawet na znaczną odległość miejsca swego stałego pobytu od Lwowa, połączyli się ze stołeczną drużyną myśliwską dla zamanifestowania łączności w celach, do których tak statecznie i usilnie dąży nasze Towarzystwo, wypisawszy na swoim sztandarze: „Nie masz łowiectwa bez skrupulatnej, najoględniejszej gospodarki" — „Nie masz rozrywki łowieckiej bez jak najściślejszego, żelaznego regulaminu polowań". *β.*

Gołębie pocztowe. W Rzeszowie odbyły się d. 7. sierpnia próby lotu gołębi pocztowych, hodowanych w celach militarnych. Porucznik Opravil w obecności grona oficerów i miejscowego starosty wypuścił o 6-tej godzinie rano na błoniach 24 gołębi pocztowych, które dnia poprzedniego nadeszły koleją z Morawskiego Szönbergu.

Gołębie, wyleciawszy z klatki, odrazu skierowały lot ponad Rzeszów na zachód. Pogoda sprzyjała im początkowo, dopiero w dalszej podróży na Szląsku i Morawie zaskoczyły je burze. Mimo tego pierwszy gołąb przybył do Schönbergu już o 12 godzinie 25 minut, a w dalszym ciągu dnia drugiego przybyło 8, wreszcie 9-go sierpnia jeden, czyli razem do soboty wróciło 17 gołębi.

Gołębie niektóre niosły depesze, przyszyte do jednego z piór ogonowych od spodu, wszystkie zaś miały numera na nóżkach. Odległość Morawskiego Schönbergu od Rzeszowa w prostej lini wynosi około 70 mil, które, jak powyżej wspomnieliśmy, pierwszy gołąb przeleciał w niespełna $6^1/_2$ godzinach, czyli około 12 mil na godzinę.

W końcu lipca odbyto także próby z pocztą gołębią pomiędzy Przemyślem a Pesztem. Z dziesięciu gołębi, wypuszczonych z Przemyśla o godz. 9-tej rano, pięć przybyło do Pesztu o godz. $4^1/_2$ po południu, przebyły więc przestrzeń 560 kilom. (około 74 mil) w przeciągu $7^1/_2$ godzin, tj. prawie 10 mil na godzinę. Żaden z gołębi nie zgubił depeszy.

Przy próbnym wyścigu gołębi, urządzonym z Krakowa do Wiednia w dniu 20 lipca przez austro-węgierskie stowarzyszenie dla chowu drobiu, przybyły gołębie w skutek niesprzyjającego powietrza dopiero na drugi dzień do Wiednia.

Napad wilka. W Draczyńcach na Bukowinie pracował 3. z. m. nieopodal lasu na polu włościanin miejscowy Jan Bojdak, a półtora-rocznego synka ułożył w bruździe do snu. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk dziecka i spostrzegł wilka, który, wyskoczywszy z zarośli, porwał dziecię w zęby i starał się unieść je do lasu. Bojdak rzucił się za zwierzem i zmusił go do opuszczenia łupu, dziecko atoli było tak pokaleczone kłami rabusia, że po paru godzinach wyzionęło ducha.

Wąż w wagonie. Na linii Aussee-Attnang w Styryi dostał się do wagonu towarowego wąż i tak silnie ukąsił w palec konduktora Stügera, że zemdlałego musiano odwieźć do szpitala. Ponieważ w okolicach Aussee bardzo często napotyka się węże, ztąd łatwo się mogło wydarzyć, że mógł się gad dostać i do wagonu osobowego. Dzienniki niemieckie zwracają uwagę zarządu kolei państwowej na tę okoliczność i radzą dokładniejszą lustracyę wagonów przed odejściem pociągu.

Walki szczurów z pinczerami, nowa odmiana sportu, uprawiana obecnie z zapałem w Anglii, przeniosła się już także do Francyi i Belgii. W ostatnich czasach dwaj miłośnicy psów, z Antwerpii i z Tournai, urządzili taki turniej, a wszyscy amatorzy sportu szczurowego w Belgii obecni byli na tem widowisku. Pinczer z Turnai rozszarpał i zabił 50 szczurów w przeciągu 7 minut 20 sekund, pies antwerpski zaś w przeciągu 3 minut 55 sekund. Zwycięzca, a raczej jego pan, otrzymał 1.000 fr. nagrody.

Wiec rybacki. Dnia 20. sierpnia zebrał się w Gdańsku wiec rybacki. Zgromadził on najznakomitszych pracowników w dziedzinie rybactwa z całych Niemiec oraz z Danii, Holandyi i Szwecyi. Byli także przedstawiciele Węgier, a z Galicyi brali w wiecu udział bar. Aleksander Gostkowski z Tomic, A. Uznański z Szaflar i prof. Warchoł ze Stryja. Sędziwy przewodniczący, dr. S. Behr Schmaldow, zagajając obrady nad hodowlą ryb, zaznaczył, że rybactwo, to sprawa międzynarodowa, kosmopolityczna, mająca na celu dobro ludzkości i jako taka wszystkich obchodzić powinna, którym to dobro na sercu leży. A ponieważ rybactwo jest umiejętnością nową, przeto wśród rozmaitych trudności musi sobie torować drogę, aby się stać mogło interesem wszystkich ludów. Przewodniczący podniósł z naciskiem, że w tem poważnem gronie pracowników, których przed sobą widzi, nie znajduje naszego niezmordowanego dr. Maksymiliana Nowickiego, a po usprawiedliwieniu jego nieobecności przez jednego z członków z Galicyi, wysłało prezydyum wiecu za zgodą wszystkich telegram do dr. Nowickiego, chcąc zaś dać wyraz jego zasługom około podniesienia rybactwa, rozpoczęto obrady nie od Renu, ale od Wisły, i przyjęto wnioski Nowickiego co do kultury łososia w dopływach tej rzeki.

Bar. Gostkowski miał na wiecu odczyt o hodowli karpi i sandaczy. Posiada on, jak wiadomo, wzorowe gospodarstwo stawowe. Stawy jego zajmują przestrzeń 140 hektarów i są głębokie na 80 ctm. do 1 metra. Roczny przyrost ryb wynosi 25.000 kilo. Ryby otrzymują podostatkiem dobrego pożywienia, tak, że mając 5 miesięcy ważą już 5 kilo.

Dyrektor spółki rybackiej w Keslinie, Strauss, zdawał sprawę ze swej podróży po Niemczech celem studyowania obecnego stanu gospodarstwa stawowego. Zdaniem jego gospodarstwo to jest bardzo zaniedbane, chociaż hodowla ryb jest daleko zyskowniejsza, niż wszelki inny rodzaj gospodarki rolnej. Szczególnie mniejszym właścicielom dóbr polecał on bardzo usilnie gospodarkę stawową, której zaprowadzenie nie wielkich wymaga kosztów, a już po roku znaczne przynosi dochody.

Z różnych stron podnoszono myśl, by celem zapobieżenia dzikiemu rybołostwu wszyscy sprzedający ryby na targu mieli świadectwa, skąd te ryby pochodzą.

Radca Meyer oświadczył, że zaprowadzenie takich atestów uważa za rzecz niemożliwą do wykonania, szczególnie tam, gdzie istnieje równocześnie rybołowstwo morskie i rzeczne.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.